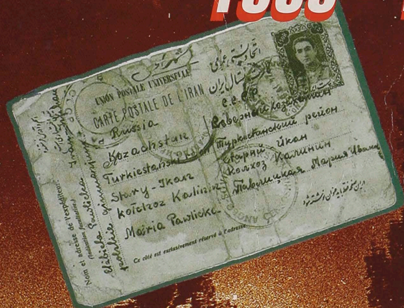
Elżunia Pawlicka

PRZEŻYLIŚMY...

Pamiętnik z zesłania 1939 - 1942



Elżunia Pawlicka
(Elżbieta Pawlicka-Frankowska)

PRZEŻYLIŚMY...

Pamiętnik z zesłania

1939 - 1942

Rzeszów 1998

Opracowanie redakcyjne:
WIESŁAW P. KĘCIK
WANDA TARNAWSKA

Projekt okładki i opracowanie graficzne
ZBIGNIEW GRZYŚ

Wydawca:
Rzeszowski Oddział Stowarzyszenia WSPÓLNOTA POLSKA

ISBN-83-910573-0-5

Skład, łamanie, korekta: Firma SAS Wanda Tarnawska
35-207 Rzeszów, ul. Orla 5, tel./fax (0-17) 863-07-88

Naświetlanie zdjęć: R-PRESS, Sp. z o.o.
35-016 Rzeszów, ul. Kraszewskiego 2
tel. (0-17) 852-27-40, fax 852-27-45

Druk: Pracownia Poligraficzna DRUK Ryszard Świątoniowski
35-036 Rzeszów, ul. Żwirki i Wigury 8b,
tel./fax (0-17) 85-40-790, 85-40-893

Kto cierpiał bardzo – ten boleść rozumie,
Kto kochał bardzo – ten przebaczyć umie.
Kto przeżył wiele – ten potrafi czekać,
A kto zły – zło jeno widzi u człowieka.

Józef Zabielski



OD WYDAWCY

Oddajemy do rąk Państwa wyjątkową książeczkę. Są to wspomnienia wojenne młodziutkiej wówczas dziewczyny, z którą historia obeszła się w sposób straszliwy, choć zarazem typowy dla tysięcy polskich obywateli po 1939 roku.

Kataklizm wojny już w pierwszych godzinach zabiera Elżuni ojca. Wraz z matką i siedmiorgiem młodszego rodzeństwa przeżywa gehennę syberyjskiego zesłania. Niewolnicza praca przy wyrębie tajgi na północnym Uralu. Mróz, głód, NKWD. Tam umiera dwóch najmłodszych braci. Potem przychodzi konsekwencja zmiany losów wojny i tzw. amnestia.

Tylko Stalin w swej przewrotności mógł tak to nazwać! W trzech transportach wywieziono ze wschodnich terenów Rzeczypospolitej półtora miliona ludzi. 10 lutego 1940 roku 250 tysięcy osadników, rodzin wojskowych i służby leśnej wywieziono na roboty przymusowe na północną Syberię. 13 kwietnia około miliona Polaków, tzw. specjalnych przesiedleńców, rodzin jeńców wojennych – między innymi tych z Kozielska, Ostaszkowa i Starobielska – wywieziono na południe Syberii do pracy w kołchozach i sowchozach. I jeszcze na dwa dni przed uderzeniem Niemców na Związek Sowiecki, 20 czerwca 1941 roku znów kilkaset tysięcy Polaków wywieziono do Komi i na północną Syberię do wyniszczającej pracy w tajdze.

To właśnie tym ludziom Stalin udziela przebaczenia, amnestii... o ile się o niej w ogóle dowiedzą i zdołają wydostać z łagrów, posiołków, kołchozów, aby znaleźć się w Armii Polskiej w Związku Sowieckim, którą na polecenie Rządu premiera Sikorskiego tworzy gen. Anders. Dążą więc mężczyźni, kobiety i dzieci do Uzbekistanu i Turkiestanu, gdzie armia się formuje. W swoim przekonaniu jadą do Ojczyzny.

Widać to i we wspomnieniach Elżuni, która wraz z matką i rodzeństwem wędruje na południe barkami, pociągiem, statkiem. Gubi rodzinę, odnajduje ją, głoduje, bywa oszukiwana przez jednych, okradana przez drugich, życzliwie wspomagana przez jeszcze innych. Potem straszliwe choroby – tyfus, malaria... śmierć ukochanej siostry. Egzotyka pustyni i stepów oraz ich mieszkańców: Kazachów, Uzbeków, Turkmenów. Rozstanie z matką. Ogrom nadziei i ogrom rozczarowań...

Każdy, kto trafił do tej armii, losy miał podobnie tragiczne. Każdy jest poharatany przez wojnę, zsyłkę, głód, niewolniczą pracę, mróz, choroby, a wreszcie przez ten straszliwy system bolszewicki i jego policję – NKWD. W tej krótkiej relacji młodziutkiej dziewczyny wszystko to jest widoczne jak na dłoni. Ale są również wspaniałe przykłady piękna i dobra ludzkiego, tym bardziej wyraziste, że na nieludzkiej ziemi i w nieludzkich czasach. Armia Andersa zostaje przez politykę wypchnięta do Persji i na Bliski Wschód. Elżunia ląduje w bajkowym Teheranie...

Wspomnienia urywają się. Żal. Bo Autorka ma wyjątkową zdolność narracji. Mogłaby dalej snuć opowieść swego życia, które potem wcale nie jest mniej ciekawe ani mniej uwikłane w historię, niż to już opisane. Szkoła w Isfahanie, studia pielęgniarskie w Bejrucie, praca w Kanadzie, małżeństwo z byłym jeńcem sowieckich obozów, przeprowadzka do USA, dzieci, choroby, śmierć najbliższych... A wszędzie i wciąż ufność do Boga,

miłość do rodziny i Ojczyzny, praca, odpowiedzialność, kultywowanie przyjaźni...

Opowieść, którą Państwu przedstawiamy, przykuwa uwagę od pierwszych zdań aż do końca. A po lekturze zmusza do osobistych przemyśleń. Autentyzm relacji. Szczerość wypowiedzi. Ból, ale żadnych potępień, osądów. Pragnienie szukania i opisania dobra. Przezorność i troska o innych.

„Pisząc moje przeżycia z tego okresu, robiłam to bardzo oględnie, aby nikogo nie narazić. Wszak Mamusia pozostała w ZSSR, bolszewicy siedzieli w północnej Persji, a żyjąc przez dwa i pół roku w kraju, gdzie „ściany uszy mają" trudno mi się było z tego otrząsnąć i być otwartą w rozmowach czy piśmie. Dlatego też niewiele podaję nazwisk - aby nikomu nie zaszkodzić, gdyby te wspomnienia dostały się w nieodpowiedzialne ręce..." *– pisze Autorka w liście do swej rzeszowskiej przyjaciółki, rodaczki z pobliskiej Białozórki na Wołyniu, Teresy Borowiec, której staraniom zawdzięczamy wydanie niniejszej książeczki. Pisze też:* „Pamiętnika strzeż jak oka w głowie... to zeszyt o niezbyt dobrym papierze (ale przetrwał 55 lat), okładka uszyta z mojej spódniczki junackiej." *Dzieli się problemami z wyborem tytułu dla swojej relacji, przedstawiając następujące propozycje:*

- Potęga modlitwy i wiary
- Przeżyliśmy dzięki Opatrzności Bożej
- Źródłem siły była mi modlitwa i wiara
- Nawet wśród wrogów są dobrzy ludzie.

Jakże piękne są to propozycje, jak trudno wśród nich wybrać, jak wiele mówią o Autorce i o tym, jak ona sama ocenia swoje życie...

Pragnąc uszanować wolę Autorki, pozostawiamy tekst Pamiętnika prawie bez ingerencji, podając konieczne wyjaśnienia, uzupełnienia i tłumaczenia w kwadratowych nawiasach.

Reprodukujemy też rysunki, którymi Elżunia Pawlicka ilustrowała swoje wspomnienia w trakcie pisania. Wiersze, które zamieszczamy po ***Epilogu****, pochodzą ze zbiorów Autorki i mają dla niej szczególne znaczenie. Wśród zdjęć najważniejsze dla Autorki są fotgrafie ukochanego i podziwianego zawsze Tatusia, cudem odnalezione, bo całe rodzinne „archiwum" przepadło bezpowrotnie. Niezwykle cenne jest też zdjęcie z Uzbekistanu, które* „przywiozła Mamusia z Rosji. Robiła je Uzbeczka, której Lala pilnowała małego synka. Ponieważ nasza odzież to były łachmany, Uzbeczka ubrała nas w swoje stroje uzbeckie. Jej mąż siedzi wśród nas. Zdjęcie robione było krótko przed naszym zachorowaniem na tyfus." *Mamusia wróciła do Polski w 1946 roku, wtedy i młodsze dzieci miały już dokąd wracać. Niestety, ani do rodzinnej Weteranówki, ani na grób ojca, nie dane im było dotrzeć do dziś...*

Na zakończenie niniejszej książeczki zamieszczamy ***Życiorys****, napisany przez Elżbietę Pawlicką-Frankowską w 1998 roku. Tyle powiedziałaby o swoim życiu dzisiaj. Tylko tyle i aż tyle.*

PRZEDMOWA

Autorka niniejszego pamiętnika jest córką Mariana Pawlickiego, osadnika wojskowego, który otrzymał na własność ziemię na Kresach (9 ha) za obronę granic Ojczyzny, na mocy ustawy z 17 grudnia 1920 roku o nadaniu ziemi żołnierzom Wojska Polskiego.

Osadę, którą założyli skierowani tam żołnierze, w liczbie sześćdziesięciu trzech, nazwano w 1926 roku Weteranówką. Należała ona do gminy Białozórka u zbiegu województw wołyńskiego i tarnopolskiego (byłego zaboru rosyjskiego i Galicji), w powiecie krzemienieckim województwa wołyńskiego. Położona była w dorzeczu Horynia i nieopodal źródeł Zbrucza, w odległości 1,5 km od granicy polsko-sowieckiej.

Warunki życia osadników były w początkowym okresie bardzo trudne. Zachwaszczona ziemia dawała niskie plony, a wydatków nie brakowało – budowano domy i zabudowania gospodarcze, kupowano narzędzia i maszyny rolnicze itd. Sytuacja, w jakiej znaleźli się osadnicy, otoczeni przez obcych i nie zawsze życzliwych im ludzi, wytworzyła silne poczucie wspólnoty i solidarności, wyrażające się we wzajemnej pomocy, m.in. przy transporcie budulca, wznoszeniu domów, kopaniu studni oraz licznych wspólnych przedsięwzięciach, jak np. budowa kościoła. To właśnie pozwoliło przetrwać najtrudniejszy okres i uzyskiwać później znakomite efekty gospodarcze. Po roku 1939, na skutek

działań wojennych, osadnicy musieli opuścić tamte tereny, pozostawiając cały dorobek pracowitego życia.

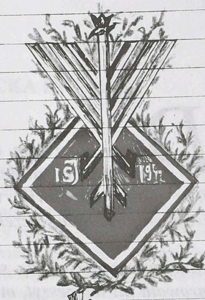
Do najbardziej odważnych i wyróżniających się założycieli Weteranówki należał właśnie ojciec Autorki, Marian Pawlicki. Nic zatem dziwnego, że był dla córki nie tylko ukochanym Tatusiem, ale i wzorem do naśladowania. On też jako pierwszy zginął w obronie Ojczyzny 17 września 1939 roku.

Po 1 września 1939 roku wzdłuż granicy polsko-sowieckiej wprowadzono Straż Obywatelską, utworzoną z osadników i strzelców. W dniu 17 września o godz. 4 rano oddziały Armii Czerwonej przekroczyły granice Państwa Polskiego bez wypowiedzenia wojny. Najpierw pojawiły się patrole konne, a następnie oddziały zmotoryzowane. Właśnie w tym dniu Marian Pawlicki pełnił służbę w Straży Obywatelskiej. Gdy zatrzymał sowiecki patrol konny, został przezeń zamordowany. Osierocił ośmioro dzieci, z których najstarsza, Elżbieta, miała 12 lat, a najmłodszy, Marian, urodził się w październiku, już po śmierci ojca.

Wszyscy wraz z matką zostali wywiezieni na Sybir 10 lutego 1940 roku. Opiekę nad rodzeństwem przejęła najstarsza – podobna do ojca – Elżbieta, choć sama przecież dziecko jeszcze.

W tej oto książeczce znajdą Państwo jej wspomnienia, spisane krótko po wyrwaniu się z nieludzkiej ziemi sowieckiej. Mogły się one ukazać dzięki pomocy pana Mariusza Grudnia, wiceprezesa Rzeszowskiego Oddziału Stowarzyszenia „Wspólnota Polska", który wystarał się o dotację na sfinansowanie wydania pamiętnika Elżuni Pawlickiej. W imieniu żyjących jeszcze dzieci osadników wojskowych z Weteranówki składam niniejszym gorące podziękowanie. W ten sposób mogliśmy bodaj częściowo spłacić dług wdzięczności wobec dzieci Pierwszego Obrońcy naszej ukochanej ziemi rodzinnej.

Teresa Borowiec



Pamiętnik

Rodzeństwu: Dzidzi, Józiowi, Lali, Rysiowi;
moim dzieciom: Marysi, Leonowi, Elzi, Patti
i Markowi
oraz powojennym pokoleniom Polaków,
aby wiedziały, co przeżywał Naród Polski
w czasie II wojny światowej.

Długo marzyłam o pamiętniku, w którym mogłabym umieścić to, co znajduje się w sercu moim, od chwili, w której Ojczyzna nasza utraciła wolność. Długo czekałam,... jednak...

Marzenia moje ziściły się. Dzięki Heli W., która podarowała mi ten zeszyt, mam dziś to, czego pragnęłam. Wdzięczność moja nie ma granic. Muszę się jej kiedyś zrewanżować...

Pozostanie mi to pamiątką z Isfahanu, w którym spotkało mnie tyle miłych niespodzianek i wiele radości.

Choć może jest to opisane nieudolnie, lecz nie jest to powieść, a tylko to, co przeżyłam, zacząwszy od lat dwunastu. Straszne ciosy, które mi los zadał, poraniły moje serce, zostawiły blizny, których już nikt zagoić nie zdoła.

Pawlicka Elżunia

BOLSZEWICKA INWAZJA

Rok 1939. Nigdy się nikomu nawet nie śniło, i nikt nie przypuszczał, że spotka nas takie wielkie nieszczęście. 1 września wybuchła wojna z Niemcami. My mieszkaliśmy na Wołyniu, prawie przy samej granicy rosyjskiej [w osadzie Weteranówka, gmina Białozórka, powiat Krzemieniec – przyp. wyd.]. Często słyszałam jęki, często widziałam palące się gospodarstwa po stronie rosyjskiej. Lecz nigdy nikt z nas nie przypuszczał, że nogi nasze będą chodziły po tej ziemi i gdzieś daleko na wschodzie będziemy cierpieć okrutną niedolę. W dniu 4 września wielu mężczyzn powołano do wojska. Wśród nich i mojego Tatusia. Ponieważ rodzina nasza była bardzo liczna, władze wojskowe przeznaczyły Tatusia do K.O.P-u [Korpusu Ochrony Pogranicza], skąd mógłby od czasu do czasu zajrzeć do rodziny. Po dwóch tygodniach, 16 września, przyjechał Tatuś do domu. Ucieszyliśmy się bardzo, gdyż wszyscy bardzo kochaliśmy Go. Był jakiś smutny, niewiele do nas mówił. Zdziwiło mnie bardzo, gdy zobaczyłam, że z innym wyrazem twarzy niż zwykle czyścił karabin (zdobyty w wojnie światowej w walce z bolszewikami) i szablę (austriacką). Nic przy tym nie mówił. Nie wiedziałam, co to ma znaczyć, gdyż Tatuś zawsze był wesoły, pieścił nas, opowiadał nam ciekawe rzeczy i często w wolnych chwilach bawił się z nami lub grał na organkach albo pikoli.

Teraz zdawało mi się, że jakiś wielki ciężar przygniata jego serce. Przebrał się; po chwili kazał zawołać młodsze rodzeństwo. Młodsze, bo ja byłam z nich najstarsza, po mnie: bliźniaczki Jadzia i Dzidzia, Józio, Lala, Rysio i Edzio najmłodszy. Tatuś miał odchodzić. Całował nas wszystkich, a gdy się żegnał z mamusią, która prosiła, ażeby pozostał w domu do jutra, odpowiedział: – „Marysiu, bądź spokojna i pilnuj dzieci, a ja będę czuwał na granicy. Bo któż będzie bronił naszej Ojczyzny i jej wolności, jeżeli nie my; starzy żołnierze, wierni jej synowie."

Zachodziło już słońce cudnie, rzucając ostatnie swe promienie na ziemię, oświecając ją tęczowymi barwami. W powietrzu unosiły się jedwabne niteczki babiego lata. Nad ogrodami latały białe motyle. W sadku uginały się jabłonie, grusze i śliwy pod ciężarem owoców. Jakaś niezwykła cisza panowała wokół. Słońce żegnało ziemię polską w tym ostatnim dniu jej wolności. Słońce zaszło. Tatuś odchodził; w oczach miał łzy, pokręcał wąsy. Widocznie przeczuwał, że to już ostatni raz żegna się z nami. Pocałował nas jeszcze raz i odszedł... Odszedł na zawsze.

W nocy padał deszcz, grzmiało i częste błyskawice przeszywały niebo. Ponieważ padał deszcz, spałam dość mocno. Szaro było jeszcze zupełnie, gdy się przebudziłam i ku wielkiemu mojemu zdziwieniu, zobaczyłam przy oknie stojącą mamusię... Płakała. Natychmiast wstałam i podeszłam do mamusi. Co mają znaczyć łzy w jej oczach? Nic nie rozumiałam. Zapytałam nieśmiało, dlaczego płacze. Otrzymałam odpowiedź: – „Już my pewnie naszego Tatusia nie zobaczymy, spójrz, co się dzieje za oknem."

Twarzą przylgnęłam do szyby, ażeby móc lepiej rozeznać co było na dworze. W tejże chwili stanęłam jak wryta. Całe pola wokół naszego podwórza zapełnione były wojskiem. Dały się słyszeć strzały. Bez przerwy sunęły ciężarowe auta, kawaleria, tabory. Przez pola, pagórki ciągnęły czołgi. W mroku nie można

było rozpoznać, co to za wojsko. Widząc niepokój w oczach mamusi, starałam się ją pocieszyć. Mówiłam, że to na pewno wojsko polskie tędy idzie, na pomoc walczącym z Niemcami. Trochę się uspokoiła, lecz nie na długo. Zaczęło się rozwidniać. Eskadry samolotów wojennych bez przerwy krążyły pod obłokami złowrogo warcząc.

Wtem do mieszkania weszła starsza już kobieta, pani Kirysowa, i powiedziała nam, że są to bolszewicy. Po chwili rozmowy poprosiła mnie, abym podała jej wody, a sama wyszła na dwór. Nie wiedziałam, dlaczego to robi. Zdziwiłam się i jednocześnie serce zabiło mi mocniej. Wyszłam podając jej wodę, gdy usłyszałam niespodziewanie słowa, które były tak bolesne dla mnie. Mówiła: – „Nie przerażaj się, dziecino moja, uważaj na zdrowie mamusi. Otóż Tatuś wasz nie żyje. Leży pod lasem Brzezińskim [właściwie obok mostku w pobliżu parku w Białozórce] z przebitym sercem. Życie oddał Ojczyźnie na straży jej granic. Nie martw się..."

Nic więcej nie słyszałam. Siły mnie opuściły zupełnie. Ocknęłam się. Leżałam pod rozłożystą czereśnią i nikogo nie było koło mnie. Zapomniałam o tym, co zaszło. Nie mogłam sobie wytłumaczyć, dlaczego się znajduję w ogrodzie pod drzewem. Poszłam do mieszkania i tutaj od razu przypomniałam sobie wszystko. Mamusia już też dowiedziała się o śmierci Tatusia. Była wprost nieprzytomna. Co chwilę popadała w omdlenie. Nie słyszała nas ani tego, co do niej mówili inni. W mieszkaniu i na podwórzu było pełno ludzi z osady, *futoru* i nawet z Białozórki. Jak tylko mogłam, powstrzymywałam się ażeby nie wybuchnąć łkaniem. Starałam się pocieszać mamusię. Prosiłam, ażeby nie zostawiała nas sierotami.

Tak przeszedł cały dzień. Był on długi jak rok. Nadeszła noc. Moja chrzestna mamusia [pani Warzechowa] nocowała u nas i nadal pozostała z nami. Okazała nam wtedy wiele serca.

Bóg jej wynagrodzi. Całą noc mamusia nie spała, ja również. Dopiero nad ranem udało się nam namówić mamusię, aby położyła się spać. Zdrzemnęłyśmy się również i ja z chrzestną mamusią.

Następnego dnia mamusia razem z ludźmi zebranymi udała się na miejsce, gdzie zginął Tatuś. Zwłoki przyniesiono do świetlicy K.S.M. Ksiądz Roman Jałocha kazał natychmiast zrobić trumnę i odprawił mszę żałobną. Grono osadników wojskowych złożyło zwłoki swego kolegi, a mojego ukochanego Tatusia, na cmentarzu Białozóreckim, na wieczny sen.

Ja nawet w tym ostatnim dniu nie mogłam być przy Tym, którego tak bardzo kochałam. Musiałam pozostać z dziećmi w domu, gdyż wojsko sowieckie bez przerwy sunęło przez naszą działkę, a często jeździec wpadał na podwórze, często coś mówił, lecz prawie nic nie rozumiałyśmy. Dzień ten zadał okrutny cios całej naszej rodzinie. Pozostanie on na zawsze w mej pamięci, a zadanej rany nikt nie zagoi.

Upływały dni. Dni smutku i ciężkiej żałoby. Wszystko było zupełnie inne, nawet słońce świeciło inaczej. Wieczorami psy wyły okrutnie, jak gdyby rozumiały to, co się stało. Zmieniło się wszystko z chwilą przyjścia bolszewików. W sklepach zabrakło nawet soli i nafty. Żydzi pozadzierali nosy do góry. Grozili Polakom: „Już skończyło się wasze" i *„Priszły braty, teper nasze prawo"* [przyszli bracia, teraz nasze prawo]. Ukraińcy znęcali się nad osadnikami. Niesłusznie oskarżali przed władzami rosyjskimi. Niszczyli wszystko w ogrodach. Wykopywali sami kartofle, nie zostawiając gospodarzowi nic. Spisywali wszystko zboże i dobytek, a nawet inwentarz martwy. Pozamykali magazyny ze zbożem. Zrobili się całkowitymi gospodarzami Polaków (osadników). Bez ich wiedzy nie wolno było nawet wziąć zboża tyle, ile trzeba było na chleb. Za najmniejszą rzeczą trzeba było iść do komitetu, który składał się z najzaciętszych Ukraińców, przy

tym ludzi ciemnych, nie posiadających zupełnie ogłady, kłaniać się im i prosić o łaskę. Wtedy oni drwili, szydzili, naśmiewali się z nas i zawsze wytykali: – *„Pany propały"* [panowie przepadli].

Ile razy mamusia wróciła stamtąd, zawsze była zapłakana. Postanowiłam więc nie puścić więcej mamusi do komitetu. Chodziłam sama. Gdy pewnego razu poszłam prosić, ażeby pozwolili sprzedać trochę zboża na potrzeby domowe, *hołowa* [przewodniczący] komitetu tak mi odpowiedział: – *„Propadete wsi jak wasz bat'ko. Nehaj win wam dast', ja ne dam ni odnoho zerna"* [Zginiecie wszyscy jak wasz ojciec. Niech on wam da, ja nie dam ani jednego ziarna]. Rozpłakałam się i odeszłam. Pomyślałam, że wolę w tej chwili umrzeć, a więcej do nich nie pójdę prosić o swą własną pracę, trud mych rodziców. Wezmę po kryjomu, a do nich nie pójdę.



Wróciłam do domu i przy pomocy Józia, Dzidzi i Jadzi postanowiłam wykraść trochę zboża. Wprawdzie magazyn był zamknięty na wielką kłódkę, ale w suficie były drzwiczki, których nie zauważono i nie zamknięto. Spuściłam się do wnętrza, a moi pomocnicy zostali na strychu. Do grubej linki przymocowaliśmy wiadro. Ja nabierałam do wiadra zboże, a oni wyciągali i zsypywali do worka. Kiedy już zboże było przyszykowane, powiedziałam mamusi, że pojadę za granicę. Dużo ludzi chodziło tam za solą, naftą, mydłem. Zboże było tam bardzo drogie i za nie można było dostać wszystkiego. Trzeba było tylko uważać przy przechodzeniu przez granicę, ażeby nie wpaść w ręce straży rosyjskiej, która wciąż jeszcze strzegła starej granicy, ażeby z polskiej strony ludzie nie przechodzili do Rosji, a tamci do nas. Mamusia zabroniła, bo jeżeli by złapali, czekało więzienie lub inne ciężkie kary. Jednego Żyda złapano na granicy po raz trzeci. Wiózł obuwie i jeszcze tam coś. Rozstrzelano go. Konie pędziły jak szalone, na wozie leżał trup, krew zostawiała ślady na drodze. Lecz ja chciałam przekonać mamusię, że mi się nic nie stanie.

Po kryjomu, nie mówiąc nic więcej mamusi, poszłam do koleżanki, Mani Staniszewskiej, która mieszkała niedaleko, tuż przy granicy i w tym miejscu najbezpieczniej było przejść przez granicę. Umówiłyśmy się, że kiedy kogut zapieje pierwszy raz, wyjdziemy z domu. O tej porze będzie najbezpieczniej przedostać się do wioski odległej o 5 km od granicy, w której na pewno będzie można wymienić soli i mydła. Nie spałam prawie zupełnie. Wszystko miałam przyszykowane. Kogut zapiał, już czas. Bez najmniejszego szmeru ubrałam się, wzięłam około 8 kg hreczanej kaszy w worek, zarzuciłam na plecy, do ręki wzięłam kij i wyszłam. Noc była ciemna. Na myśl przychodziły mi różne opowiadania i bajki. Trochę się bałam, ale przeżegnałam się i poleciwszy się opiece Bożej, ruszyłam. Mania już na mnie cze-

kała. Jeszcze raz obie przeżegnałyśmy się i poszłyśmy. Przeszłyśmy przez granicę nie spotkawszy nikogo. Ciemno było jeszcze zupełnie, gdy przyszłyśmy do wioski Szybenny. Zaledwie można było rozpoznać lepianki przysiadłe do ziemi, często pochylone, popodpierane drągami. Zaczęło świtać. Teraz dopiero oczom naszym ukazała się panująca tu nędza, w całej pełni. Wymieniłyśmy soli, nafty, mydła i zaraz ruszyłyśmy w drogę powrotną. Niebezpieczeństwo czyhało na każdym kroku, ponieważ był dzień. Zdawało nam się, że lada chwila złapią nas. Szłyśmy nic prawie nie rozmawiając i omijałyśmy miejsca, w których można było spodziewać się straży. Doszłyśmy do granicy. Oglądamy się na wszystkie strony, czy też kogo nie ma. Nie ma... ale z *obserwatoru* mogą nas zobaczyć. Zdaje się, że tam nie ma też nikogo. Chodźmy!

Już jesteśmy na granicy, gdy wtem: – *„Stoj!"* – Stanęłyśmy. – Co teraz będzie? – mówimy do siebie. Ogarnął nas strach. Nadszedł żołnierz rosyjski. – *„Kuda chodili?"* [dokąd chodziłyście] – zapytał. – *„Razwie nie znajete, szczo chodyt' tudy ne lzja"* [czy nie wiecie, że tam nie wolno chodzić?]. Udałyśmy, że nie słyszymy co on do nas mówi, przywitałyśmy go: *„Zdrawstwuj towariszcz"* [witaj towarzyszu], myśląc, że w ten sposób odpędzimy jego gniew. Kazał nam iść za sobą. Wiedziałyśmy, że prowadzi nas na strażnicę, zwaną *zastawą*. „Nie pójdziemy" – szepnęłam do Mani. Usiadłyśmy obie na ziemi. Zaczęłyśmy stękać, że nam jest bardzo ciężko. Przecież niosłyśmy samej soli po 12 kg. Porobiłyśmy kwaśne miny i zaczęłyśmy trzeć oczy, choć płakać nawet nie myślałyśmy. Obiecałyśmy, że już więcej nigdy nie pójdziemy za granicę. Z początku nie chciał wcale słuchać naszych próśb. Po pewnym czasie oglądnął się we wszystkie strony i pozwolił nam uciekać do domu, przy czym zapytał o nasze nazwiska. Odpowiedziałyśmy oczywiście fałszywie: ja „Kowbasiuk" ona „Kriwenko". – *„Do swidanija, spasibo!"* [do

widzenia, dziękujemy]. Nie czując ciężaru przygniatającego nasze plecy puściłyśmy się biegiem. – „Chwała Bogu, wyszłyśmy cało" – powiedziałam. Nie spostrzegłam się, jak przyszłam do domu. Mamusia, widząc moje poświęcenie, nie krzyczała na mnie, tylko ostrzegała mnie, abym była ostrożna, gdyż może mi grozić niebezpieczeństwo.

Dni upływały. Wszystkie były podobne do siebie, monotonne, pełne smutku i coraz gorsze. Niejeden raz chodziłam i jeździłam za granicę po sól, cukier mydło i naftę. Wiele miałam przy tym przygód, których nie zdołam opisać. Tymczasem chłopi aresztowali wszystkich osadników. Znęcali się przy tym okrutnie. Popychali, bili i zamykali w więzieniu, trzymając po trzy dni bez wody i jedzenia. Więzieniem były folwarczne spichrze lub piwnice. My chcąc choć czymkolwiek dopomóc cierpiącym, po kryjomu podchodziłyśmy pod więzienie, robiłyśmy dziury w podmurówce czy ścianach i tamtędy podawałyśmy więźniom jedzenie. W każdym domu osadniczym panował smutek i łzy. Niebo również płakało nad dolą nieszczęsnych Polaków.

Dni były pochmurne, dżdżyste i słońce bardzo rzadko swymi promieniami oświecało ziemię. Nadszedł listopad, jeszcze bardziej dżdżysty. Żyzna ziemia wołyńska rozmiękła i błoto było powyżej kostek. Trudno było dostać się do Białozórki, która była od nas odległa o 3 kilometry, a cóż dopiero mówić o dalszej podróży. Tymczasem Ukraińcy chcieli się koniecznie pozbyć osadników. Często robili zebrania, tzw. *schody*, na których niesłusznie oskarżali osadników. Zebrania odbywały się na rynku, a zawsze na nich był obecny komisarz rosyjski. Głęboko w sercu utkwiły mi słowa Jurczenki, wypowiedziane przeciw Polakom na jednym z zebrań, a które były okrutnym kłamstwem. Pomimo że był Ukraińcem, był kierownikiem i nauczycielem w szkole polskiej [gdzie m.in. uczył języka ukraińskie-

go]. Córki jego uczyły się w ukraińskim gimnazjum [w Krzemieńcu]. Na zebraniu mówił, że Polska zabraniała im nawet mówić w języku ukraińskim, że bito ich, uciskano, gnębiono, niewinnie więziono i musieli za darmo pracować na Polaków. Postanowili więc pozbyć się osadników. Lecz w jaki sposób?... Jedni krzyczeli: *„Wyrezaty ich"* [wyrżnąć ich], a inni: *„Odebraty wsio i wyhnaty"* [odebrać wszystko i wygnać]. Więcej zwolenników było za tym drugim. Dnia 11 listopada wypędzili wszystkich, zezwalając wziąć im zaledwie 5 cetnarów zboża i parę koni. Nie można było patrzeć, z jakim bólem opuszczali swe gniazda rodzinne, budowane mozołem własnej pracy, zroszonej krwawym potem. Ileż dni ciężkich musieli przeżyć, może nawet w biedzie, ażeby zapewnić sobie lepszą przyszłość! Teraz wszystko to musieli zostawić i udać się nie wiadomo gdzie. Opustoszała osada. Tylko cztery rodziny, a wśród nich i my pozostaliśmy. Mamusia była wówczas ciężko chora, toteż sumienie nie pozwoliło im wygnać nas. Lecz jak wyglądała osada...?

Puste domy z powyrywanymi ramami okien, z powywalanymi piecami, porąbaną podłogą i wyłamanymi drzwiami, zdawało się, że wołają pomocy swych gospodarzy. Przez kilka dni rozlegał się krzyk drobiu głodnego, ryk bydła, kwik świń. Psy okrutnie wyły, biegały po polu szukając pożywienia i z powrotem wracały do swych bud, nie wiedząc, co się stało z gospodarzami. Nadal wiernie strzegły dobytku. I gdy chłopi [ukraińscy] po kilku dniach przyszli zabrać dobytek, niejeden odszedł z poszarpanymi spodniami.

DEPORTACJA

Ciężkie dni wolno upływały. Nadeszła zima, sroga: śnieg padał bez ustanku. Często dął mroźny wschodni wiatr, usypując zaspy śnieżne. Takiej zimy w Polsce od kilku lat nie pamiętano. Nad Polakami znowu zawisło straszne nieszczęście, którego nikt się nie spodziewał, a które tak szybko na nich spadło.

Dnia 10 lutego [1940 roku] raniutko mamusia jak zwykle szykowała śniadanie, a ja sprzątałam w pokoju sypialnym. Wtem na podwórze zajechały sanie, przemknęły koło okna i koło samego domu stanęły. Do kuchni wszedł bolszewik w towarzystwie kilku chłopów. Byli wśród nich i Polacy. Kazano nam wszystkim usiąść na łóżku w sypialnym pokoju i nie wolno się było ruszać. Zaczęto robić rewizję w całym domu. Wszystko poprzewracano, ale na szczęście nie znaleziono broni, która była schowana pod podłogą w magazynie. Po przeprowadzeniu rewizji kazano nam zebrać się, wziąć 20 pudów [1 pud = ok. 16,4 kg] bagażu i za pół godziny wywiozą nas z domu. Nie rozumieliśmy tych słów. – Jak to? Mamy opuścić własny dom? Żandarm pokrzykiwał coraz groźniej: *„Bystrej sobirajties', bystrej!"* [szybciej się zbierajcie, szybciej].

Ale nam wcale się nie spieszyło. – „Jeżeli mają nas pozabijać gdzieś w polu, to lepiej tu we własnym gnieździe" – powiedziała mamusia. Nie pomógł opór. Trzeba było opuszczać dom. Pocieszając mamusię zaczęłam ubierać rodzeństwo i co najważ-

niejsze rzeczy pakować. Już każą wychodzić. Zdjęłam jeszcze ze ściany obraz Serca Pana Jezusa, który miał nas strzec, gdziekolwiek byśmy się znaleźć mieli. Żegnałam każdy kąt w domu, każdy wazonik, każdy kwiatek i listek. W tej chwili wszystko wydawało mi się tak drogie, a na myśl, że trzeba to wszystko opuścić, serce krajało się z bólu. Mamusia z trzymiesięcznym Maniusiem na ręku, Jadzią, Dzidzią, Rysiem, Lalą i Edziem jechała w jednych saniach, a ja z Józiem na drugich, na workach z pszenicą.

Ruszyliśmy. Wzrok mój skierowałam tam, gdzie spędzałam najmilsze chwile w swym życiu. Byłam sercem i myślą w każdym kątku i przy każdym drzewie. Powoli wszystko znikło mi z oczu. Dojechaliśmy do Białozórki. Po obu stronach drogi, na balkonach i w oknach pełno było gawiedzi i rozwydrzonego chłopstwa. Pokazywali nas palcami, drwili, naśmiewali się. Nie mogłam na nich patrzeć. Spuściłam w dół oczy: ze ściśniętym z żalu gardłem nie mogłam nawet do brata przemówić słowa. Jechaliśmy nie wiadomo dokąd. Wtuliłam twarz w ręce. Gorące łzy spływały mi po palcach. W duchu modliłam się, prosząc Pana Boga i Matkę Najświętszą o opiekę nad nami.

Ciemno było, gdy przyjechaliśmy do stacji Łanowce. Tu załadowano nas do wagonów. Każdy przytulił się gdzie mógł i tak przetrwaliśmy do dnia następnego. Nazajutrz, jak kto mógł, ulokował się. W wagonie było brudno, jak zwykle w towarowych, podwójne nary po obu stronach. Pośrodku stał żelazny piecyk, obok trochę węgla w skrzynce, a przez maleńkie dwa okienka blade promyki dziennego światła wpadały, jak gdyby starały się rozjaśnić życie skazańców. Zgodziliśmy się z wolą Boga i nie narzekając na los pocieszaliśmy się wzajemnie.

Trzeciego dnia wyruszyliśmy z Łanowiec. *Eszelon* około 1 km długości ciągnął Polaków z różnych okolic Wołynia. W naszym wagonie było 29 osób. Pan Lubliński z rodziną, p. Szot, p.

Olesiowa, pani Tarnowska z dziećmi i nas 9 osób. W tym dzieci dwadzieścioro. Raz na dobę wypuszczano nas po wodę i jedzenie. Zajmował się tym głównie p. Lubliński jako starosta wagonu. Poza tym drzwi ciągle były zaryglowane. Jechaliśmy po linii: Łanowce - Zbaraż - Podwołoczyska. Piątego dnia około godziny 10-tej rano usłyszeliśmy: – „Za chwilę przejedziemy granicę." W wagonie ucichło. Za chwilę opuścimy, może na zawsze, tę kochaną Matkę-ziemię, krwią ojców naszych zroszoną.

Wtem rozległ się potężny śpiew. Żołdacy zaczęli stukać do drzwi, starając się w ten sposób uciszyć ludzi. Lecz nic nie pomogło. Cały transport, jak jeden mąż, wszyscy śpiewali: „Kto się w opiekę", potem „Pod Twoją Obronę" i „Serdeczna Matko". Minęliśmy most stanowiący granicę. Teraz wszyscy wybuchnęli głośnym szlochem: – „Żegnaj nam kochana ziemio! O miłosierny Panie! Daj nam wrócić do niej!" Pamiętam doskonale pocieszające słowa p. Lublińskiego: – „Da Pan Bóg, że za pół roku będziemy w domu." I tak na wzajemnym pocieszaniu się mijały nam dni i tygodnie. Jechaliśmy bez przestanku dzień i noc. Mijaliśmy stacje, na niektórych zatrzymując się bardzo krótko. Charków - Kijów - Tuła - Kazań - Solikamsk.

Tu stanęliśmy: powiedzieli nam, że będziemy wysiadać. Pod wagony podjechały auta ciężarowe, na które załadowywano po 35 osób. Bagaż załadowano na oddzielne samochody. Zapadła ciemna noc. Zawieja i trzaskający mróz. Bolszewicy pocieszają nas, że to niedaleko, zaledwie pół godziny drogi. Samochód mknie. W uszach gwiżdże wiatr. Już jesteśmy na miejscu. Duży dziedziniec otoczony murem, na który wchodziło się przez ciężką żelazna bramę. Wprowadzono nas do budynku i zamknięto po kilka rodzin w celi. Wysokie ściany wąskich cel poobdzierane, po nich łaziły pluskwy. Pod samym sufitem było małe okienko zakratowane, przez które dostawały się blade promyki dziennego światła. Całość dopełniały małe ciężkie

drzwi, okrutnie skrzypiące przy ich otwieraniu i małe okienko nad drzwiami, przez które *strełok* [strzelec] obserwował więźniów. Bardzo smutne wrażenie zrobiło na nas to więzienie, tym większe, gdy oznajmiono nam, że w lochach również są ludzie, którzy cierpią straszne katusze. Zamykają ich tam boso, w jednym tylko więziennym ubraniu i odrobina chleba ze szklanką wody jest pożywieniem takiego człowieka na całą dobę. Myśleliśmy, że tu już przyjdzie nam złożyć swe kości i tylko modlitwą, wiarą w Opatrzność Bożą i nadzieją podtrzymywaliśmy się nawzajem na duchu.

Trzeciego dnia rano jeden ze strażników oznajmił nam, że za chwilę wsiądziemy do samochodów i pojedziemy do odległego o 180 km miasteczka Krasnowiszerska. Ucieszyliśmy się tą wiadomością i nadzieja jaśniej zabłysła w naszych sercach. Zeszło kilka godzin, póki wszystkich załadowano do samochodów. Już późno wieczorem ruszyliśmy. Ciasno było bardzo. Samochód ciężarowy z wierzchu przykryty był brezentem, toteż duszno było bardzo i nie odczuwaliśmy zimna. Wtem w drugim końcu samochodu rozległ się przeraźliwy krzyk: – „Dziecko! Dziecko nie żyje!" – Rzeczywiście, udusiło się. [Był to synek Zosi Niziałek-Kosteckiej.] Rozwidniało się, gdy przyjechaliśmy do Krasnowiszerska. Tu już czekały na nas sanie, zaprzężone w małe sybirskie konie. 30 kilometrów dzieliło nas od Piszczanki, gdzie mieliśmy pozostać, jak mówili, na zawsze. Całą drogę przyglądałam się potężnym świerkom, tak żałośnie szumiącym i w tej chwili pomyślałam, że muszą tu spoczywać tysiące ludzi. Pod wieczór dojechaliśmy na przeznaczone miejsce. [Był to *posiołek* Piszczanka, Krasnowiszerskij *rajon,* Mołotowskaja (Permska) *obłast'* .]

POSIOŁEK

Niewielka polanka o sporym wzniesieniu, ze wszystkich stron otoczona starym, szumiącym lasem, którego jeszcze żadna noga ludzka nie zmierzyła. Gdzie okiem sięgnąć, wszędzie las. U stóp polanki przepływa niewielka rzeczka, w której ludzie czerpali wodę do swego użytku, albowiem studni nigdzie nie było. 49 domków, w których osadzono 150 rodzin Polaków, kilka baraków zajętych przez administrację i *kombaza* – stanowiły całkowite zabudowanie *posiołka.* W dali widniały Góry Uralskie porośnięte lasem iglastym dość wysoko oraz ich granitowe, gołe szczyty. Śnieżny płaszcz dochodzący do 2 metrów grubości otulał ziemię ukrywając to, co się znajdowało na niej i w niej. Często przebiegała sarna, a wieczorami słychać było przeraźliwe wycie wilków wygłodniałych. Ptactwa prawie nie było.

Nastały dla nas dni ciężkie do przebycia. Dni chłodu, głodu i prześladowania. Tydzień po przyjeździe naszym do *posiołka* komendant Bańkow zwołał zebranie, na którym powiedział: *„Zawtra wsie kak odin czełowiek ot szestnadcati let w les na rabotu. Połuczytie topory, piły i kołuny w instrumientałkie i budietie rabotat' k gosudarstwiennomu dobru"* [Jutro wszyscy jak jeden mąż od szesnastu lat do pracy w lesie. Dostaniecie topory, piły i siekiery w narzędziowni i będziecie pracować dla dobra państwa], a na koniec dodał: *„Kto rabotajet, tot kuszajet"* [kto pracuje, ten je].



– „Co teraz robić? Przyjdzie zginąć w tym lesie, bo przecież człowiek nie da rady, przy tych olbrzymich drzewach" – słychać było urywaną co chwilę rozmowę. Ja również biłam się z myślami. Co my będziemy robić? Mamusia w drodze zachorowała i leży wciąż jeszcze chora. Ja mam dopiero 13-ty rok i nie zdołam zarobić na utrzymanie mamusi i rodzeństwa. Lecz ile mi sił wystarczy, będę pracować.

Nazajutrz rano wyszłam do roboty, chociaż nie chcieli mnie przyjąć, bo byłam za młoda. Takich jak ja było kilka. Wreszcie

przynieśli nam olbrzymie drewniane łopaty i poszłyśmy z dziesiętnikiem do lasu. – *„Budietie diełat' dorożku. Za odin metr kubiczeskij wybroszenogo sniegu połuczytie 5 kopiejek"* [Będziecie robić dróżkę. Za metr sześcienny odgarniętego śniegu dostaniecie 5 kopiejek]. To rzekłszy, dziesiętnik odszedł. Zaczęłyśmy pracować. Szło nam niesporo. Zmęczyłyśmy się i nawet nie odczuwałyśmy zimna, pomimo że było 35 stopni mrozu. Nie mogłyśmy się doczekać, kiedy wreszcie puszczą nas do domu. Wtem rozległo się po lesie echo gongu. Już koniec roboty! Chodźmy.

Upływały nam dni przy pracy: ciężkie i mozolne. Mamusia wyzdrowiała i musiała też iść pracować. Doktor uznał ją niezdolną do pracy w lesie, toteż wyznaczono ją na stróżkę w tzw. *jaślach* [żłobku]. Trzeba było napalić w pięciu piecach, narąbać drzewa, w pięciu dużych salach i na korytarzu wymyć podłogi, nanosić wody do kuchni, co tydzień prać bieliznę jaślaną, poza tym wszędzie pilnować porządku. Przestałam chodzić na *dorożkę*, natomiast pomagałam mamusi.

Póki jeszcze było trochę pszenicy i kaszy z domu, to jako tako, kiedy zaś tego brakło; nastały dla nas dni ciężkie. Całe szczęście, że mieliśmy tej zimy czym palić. Stosy drzewa przygotowane przez gospodarza tego mieszkania wystarczyły nie tylko dla nas, lecz i nasi sąsiedzi tym drzewem palili. Dni upływały monotonne, jeden gorszy od drugiego. Ludzie otrzymywali listy od krewnych, te jedynie wszystkich podtrzymywały na duchu. Niektórzy dostawali *posyłki* [paczki], będące wielką pomocą materialną. Tylko my, oprócz listów, które otrzymywałam od swej przyjaciółki Danusi Sinarskiej [z Białozórki], zapewniającej w każdym, że bliska jest nadzieja naszego wyzwolenia, nie otrzymywaliśmy od nikogo nic. W dobrych czasach wielu było przyjaciół. Teraz wszyscy zapomnieli o nas. Nie... przecież nie

wszyscy, bo przecież Pan Bóg o nas pamięta i nie opuści zapomnianych sierot.

Listy Danusi były dla nas jedyną pociechą. Przed nią zwierzałam się ze swych bólów (w odpowiedziach). Opisywałam jej o wszystkim.

Był miesiąc maj. Zima miała się ku końcowi. Pewnego dnia dowiedziałam się, że 18 km od Piszczanki, na Kamionce, są dobre zarobki przy sezonowej pracy: rżnięcie *ciurek*. Postanowiłam więc prosić komendanta, ażeby pozwolił mi tam pracować. Ku wielkiemu mojemu zadowoleniu otrzymałam pozwolenie. Mamusia niechętnie zgodziła się na to. Zapewniając mamusię, że ciężkich prac wykonywać nie będę, przed południem poszłam na Kamionkę. Idąc dogoniłam Irkę Müller, która również tam szła w tym samym celu co i ja. Szłyśmy razem, układając plan naszej pracy. – „Jak przyjemnie będzie, gdy zarobimy dużo pieniędzy i powrócimy do domu zadowolone, że choć trochę będziemy mogły pomóc mamusiom."

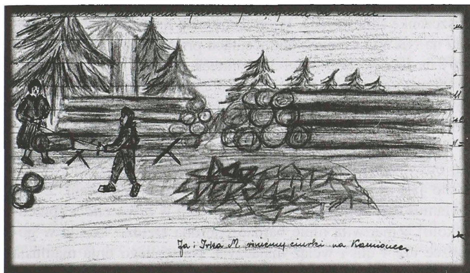
Rozmawiając nie zauważyłyśmy, że uszłyśmy już kawał drogi. Wokół szumiał las. Od czasu do czasu skrzypiała gdzieś w głębi lasu pęknięta sosna. Szłyśmy wąskim wyrębem, który stanowił większą część drogi. Opanował nas jakiś dziwny niby-lęk. Droga była uciążliwa, a najgorsze to już było przejść te siedem bagien, których w żaden sposób nie można było ominąć. – „Kiedyż wreszcie dojdziemy?" – co chwilę powtarzałyśmy. – „O, zobacz, tam w dali coś widać, niby polanka" – powiedziała Irka. Rzeczywiście, oczom naszym ukazały się 4 długie baraki. Istotnie była to Kamionka. Słychać już było stuk siekier i warkot traktorów, dowożących obczyszczone kłody drzew z lasu do rzeki (Wierzajki), po której spławiano je do fabryki papieru w Krasnowiszersku, a która przepływała tuż obok baraków. Nareszcie przyszłyśmy.

Naczelnik długo kręcił nosem, aż wreszcie przyjął nas do pracy. Zaznaczył przy tym, że za dwa tygodnie rżnięcie *ciurek* będzie skończone. Wskazał nam barak, w którym miałyśmy tymczasem mieszkać. Weszłyśmy do środka i zaraz rozlokowałyśmy się na swych łóżkach. Mieszkały tu dziewczynki w wieku od 16-18 lat i dwie starsze panie. Wszystkich nas było 18 osób. Smutek odpędzałyśmy precz ciągłym śpiewaniem. Jednym słowem, na pozór było wesoło.

Do roboty miałyśmy około 50 metrów. Nazajutrz rano dostałyśmy piłę i siekiery. Zabrałyśmy się solidnie do roboty. Zrobiłyśmy „kozaka", przyszykowałyśmy „łomy" i zabieramy się do kłód. – „Jeszcze trochę, rrrazem!... no, jeszcze!" Chłopcy pracujący niedaleko nas, widząc jak się męczyłyśmy z wyciągnięciem kłody, przyszli nam z pomocą. – „Rrrazem!... Jeszcze raz!" i już kłoda leży na „kozaku". W mig okorowałyśmy ją i rżniemy kółka o grubości 10 cm. Z początku szło nam niezbyt dobrze, lecz i do tego nabrałyśmy wprawy. Dzień miał się ku schyłkowi. Już miałyśmy porżnięte 1 i 1/2 kłody o średnicy 60 cm. Trzeba porąbać każde kółko na trójkątne kostki, które gdy wyschną, służą jako opał przy poruszaniu traktorów i aut, z braku benzyny. – „Ile też mogłyśmy dziś zrobić?" – spytałam Irki. Zaczęłyśmy obliczać na oko... mniej więcej. – „No, zobaczymy."

Przyszedł dziesiętnik przyjmować pracę. Nosimy *ciurki* skrzynką przeznaczoną do miary, uginając się pod ich ciężarem. – *„Kubometr ciurki stoit 18 rublej"* [kubik *ciurki* kosztuje 18 rubli] – powiedział dziesiętnik. My mamy niecałe pół kubika, a napracowałyśmy się porządnie. – „Dobre i to, po 4 ruble mamy, a na Piszczance na 4 ruble trzeba harować cały tydzień!" – wykrzyknęłyśmy jednocześnie. Drugiego dnia zrobiłyśmy prawie tyle samo, trzeciego już mniej. Nie ma innej rady, tylko trzeba kombinować. – „Dobra jest" – zgodziła się Irka. – „Więc od jutra zaczynamy. Korzystać, jak się daje."

Następnego dnia już nie pracowałyśmy tak jak przedtem. Częściej odpoczywałyśmy, a w chwilach, kiedy mniej więcej wiedziałyśmy, że nikogo nie ma w pobliżu, jedna z nas stała na stosie kłód pilnując, aby kto nie nadszedł, druga natomiast skradała się pomiędzy stosami do kupy *ciurek*, które schły. Nabrawszy pełen fartuch, wracała. Robiłyśmy to na zmianę. Często rozniecałyśmy ogniska w chłodniejsze dni, ogrzewając skostniałe ręce śpiewałyśmy nasze kochane polskie piosenki, które tyle dodawały nam otuchy w tych ciężkich chwilach. Gdy którakolwiek z nas zauważyła w dali dziesiętnika, majstra czy też naczelnika; zaraz zaczynałyśmy bić skiekierami w kłodę, udając, że z wielką zawziętością pracujemy. I tak jakoś szło.



Naszych kombinacji używałyśmy nie tylko przy pracy. Podobnie było w stołówce. Hasłem naszym było: „Dobrze jeść, a mało płacić." Korzystałyśmy z tego, że kasjerka miała krótką pamięć. Było tak, że przyjdę z rublem i kupię najtańszą zupę, ta nie ma wydać reszty, więc każe mi pamiętać, zapewniając, że

ona nie zapomni. Starałam się zostawić u niej choć dwie kopiejki, bo wtedy narastało mi procentu 72 lub 82 kopiejki. W ten sposób, straciwszy zaledwie parę kopiejek, żywiłam się cały tydzień i wydawałam tyle tylko, ile potrzebowałam na kupienie chleba. Tak mijały dni.

Przeniesiono nas później na Krasny Jar niedaleko od Kamionki, bo tam już roboty nie było. Na Krasnym Jarze było jeszcze lepiej. Miałyśmy dziesiętnika Polaka, przed dziesięcioma laty zesłanego tutaj na ciężkie prace (Antoś Gołębicki). Opowiadał nam często, oczywiście w sekrecie, jak bardzo pragnąłby jeszcze być w Polsce. Nie liczył nigdy naszej pracy i zapisywał nam, ile żeśmy chciały. Tu praca nie kosztowała nas wiele wysiłku. Dzień mijał za dniem. Zbliżała się wiosna. Zaczęły topnieć śniegi. Przy *ciurkach* nie było już pracy. Wróciłyśmy na Piszczankę zadowolone. Wypłacono nam należność. Po odliczeniu na NKWD i innych odtrąceniach przymusowych otrzymałyśmy na ręce po 82 ruble i 39 kopiejek. Radość nasza nie miała granic. Po drodze wstąpiłam do *kooperatywy* [spółdzielni], kupiłam całą normę chleba i zadowolona spiesznie podążyłam do domu.

W domu była tylko siostrzyczka Jadzia, Dzidzia leżała chora, otrzymała zastrzyk przeciw tyfusowi i ciężko zachorowała. Józio jak zwykle coś majstrował. Mamusia pracowała. Edzio i Maniuś byli w *jasłach*, a Lala z Rysiem w *płoszczadce* [przedszkolu]. Zmartwiła mnie bardzo choroba Dzidzi. Leżała w gorączce już 4 dni i wciąż majaczyła. Następnego dnia mamusia pozostała przy chorej, a ja zastąpiłam mamusię w pracy. Trochę było mi ciężko, ale starałam się wszystko wykonać dokładnie co do mnie należało. W wolnych chwilach bawiłam się z dziećmi, uczyłam je piosenek i zabaw, jak: „Wlazł kotek na płotek", „Ta Dorotka", „Lata ptaszek", a gdy nie było kierowniczki, „Kto ty jesteś", przestrzegając dzieci przy tym, aby przy kierowniczce

tego nie powtarzały, jeżeli by zapytała, czego ich uczyłam. Dzieci przywiązały się do mnie od razu, tak jak i do mej mamusi. Były wesołe i bawiły się ochoczo, nie zdając sobie sprawy z tego, co się wokół działo.

16 marca przed obiadem jak zwykle do *jaseł* przyszedł doktor i powiedział, że zwalnia mnie z pracy, ponieważ w domu naszym panuje odra. Nie odpowiedziawszy słowa, ze łzami w oczach odeszłam do domu. Rzeczywiście, już i Józio leżał chory. Po południu nadjechał wóz i zabrał ich przymusowo do szpitala. W przeciągu tygodnia wszyscy zostali złożeni chorobą. Mamusia też zachorowała i nawet doktor nie mógł rozpoznać, na jaka chorobę. Ja też źle się czułam. Bolała mnie głowa i wciąż miałam podniesioną temperetaurę, o czym nie wiedziała mamusia. Nie dawałam się chorobie, trzymałam się jak mogłam. Sześć osób leżało w domu, wszyscy ciężko chorzy. Ja jedna chodziłam przy nich: mierzyłam trzy razy dziennie temperaturę i robiłam, co mogłam. Cierpiałam przy tym okropnie. Znów zabrano do szpitala Jadzię, Rysia i Lalę. Zostało nas czworo. Mamusia coraz słabsza. Obok niej dwóch najmłodszych braciszków, jak ptaszęta od czasu do czasu kwilące. Co chwilę któreś otwierało oczęta i znów zamykało je.

Nie mogłam patrzeć, jak cierpiały te niewinne dzieciny, a przy nich matka. Serce krajało mi się z bólu. Nikt do nas nie przychodził oprócz doktora. Jedyną otuchą moją była modlitwa. Modliłam się zawsze gorąco do Pana Jezusa, a szczególnie do Mateńki Najświętszej. Jej to opowiadałam swe troski, przed nią otwierałam swe serce. Ją prosiłam o opiekę nad nami, o zdrowie dla wszystkich, a najgoręcej prosiłam o przywrócenie zdrowia mamusi. Wciąż prawie modliłam się. Modliłam się w duchu, bo i z kimże miałam rozmawiać. Często zapominałam co się dzieje koło mnie i gdzie się znajduję, zdawało mi się, że jestem przy boku swej Matuchny Niebieskiej, która mnie pociesza i do serca swego jak matka tuli, a otrzeźwiał mnie jęk mamusi lub kwile-

nie któregoś z braciszków. Pocieszałam mamusię, starając się odpędzić wszystkie złe myśli od niej. Lecz choroba przezwyciężyła i mnie.

Siódmego dnia przebudziłam się później niż zwykle. Byłam pewna, że to tylko przemęczenie. Poderwałam się chcąc wstać, lecz na próżno. Siły mnie opuściły i upadłam na poduszkę. Nie wiedziałam, że był u nas doktor, który w tej chwili podszedł do mnie. Stwierdził, że jestem poważnie chora i jeszcze dziś odeśle mnie do szpitala. Nie upłynęło półtorej godziny, a przed domem stanął wóz. Z wielkim wysiłkiem ubrałam się i zaczęłam się żegnać z mamusią. – „Może już nie wrócę?" – przebiegło mi przez myśl. Prosiłam mamusię, żeby się nie martwiła. Starałam się ją pocieszyć. Wszedł doktor. Przy jego pomocy wyszłam z domu. Posadzili mnie na wozie. Na deskach rozprószona garstka siana. Twardo. Oparłam się o drabinę i całą piersią wchłaniałam świeże powietrze. Pod drzwiami sąsiadów stała spora gromadka ludzi. Przyglądali się coś między sobą rozmawiając, ale nikt nie przemówił do mnie życzliwego słowa. Każdy bał się, żeby się nie zarazić. Pod lasem dzieci zbierały białe zawilce. Nareszcie z mieszkania wyszedł doktor i słyszałam, jak powiedział do furmana, że najmłodszy braciszek skończył życie.

Chciałam zejść i wrócić do domu, lecz siły mi nie pozwoliły. Woźnica podciął konie. Po drodze stanęliśmy przed domem Sudzickich. Ich syna również odsyłano do szpitala. Tu podeszła do mnie Irka Müller, pożegnała się ze mną i dała mi książeczkę ze ślicznym obrazkiem Matki Boskiej Nieustającej Pomocy. Minęliśmy już *posiołek*, jedziemy lasem. Wóz trzęsie okropnie. Droga cała z dużych kłód. Taką droga trzeba jechać 30 kilometrów. Podróż umęczyła mnie okropnie. Jechaliśmy 5 godzin. Słońce zachodziło, gdy przyjechaliśmy do szpitala. Na noszach wniesiono mnie do łazienki, wymyto i więcej nic nie pamiętam.

Szóstego dnia przyszłam do przytomności. Leżałam na łóżku pod ścianą. W tej sali leżało jeszcze kilka osób (matki z dziećmi chorymi na odrę). Dowiedziałam się od „siostry", że moje siostrzyczki i bracia są już zdrowi i za parę dni pojadą do domu. Ucieszyłam się tą wiadomością. Prosiłam tylko Pana Boga, aby przywrócił zdrowie mamusi. Z każdym dniem czułam się lepiej. Jeszcze tydzień i pojadę do mamusi – dowiedziałam się od doktorki. Dłużyły mi się dni niezmiernie. Nareszcie przyszedł dzień, w którym wróciłam do domu.

W drodze spotkaliśmy komendanta, który powiedział mi, że dzisiaj ma się odbyć pogrzeb najmłodszego braciszka, Edzia. Żal ogarnął mi serce. Zawsze pytał, gdzie poszedł Tatuś i kiedy przyjdzie. Tęsknił za Tatusiem bardzo i śmiał się rzadko. Mamusia opowiadała mi później, że gdy umierał, schwycił obu rączkami rękę mamusi i tak odszedł do Bozi – zawsze mówił: „Bardzo kocham Bozię". Gdy przyjechałam do domu, już go pochowano. Biedactwo... ani matka, ani siostra, ani brat nie był przy nim w tej ostatniej chwili jego na ziemi. Na wieczny sen złożyli go obcy ludzie, lecz przecież Polacy. Wśród starych świerków, których pnie porosły mchem, spoczywało wiele już ofiar polskich, a wśród nich Edzio i Maniuś. Drzewa wciąż szumiały, jak gdyby śpiewały kołysankę i pocieszały tych, co spoczęli w tej obcej im ziemi, która do swego łona tysiące przyjęła już ofiar. – Co jeszcze nas czeka! – pomyślałam. – Boże, taka jest wola Twoja. Niech więc stanie się z nami co chcesz, Panie, ale od Siebie nie odrzucaj opuszczonych sierot! – modliłam się.

Mamusia wciąż jeszcze była chora. My przyszliśmy już wszyscy do zdrowia. Mamusia opowiadała mi o pani Rabiarzowej, która w czasie naszego pobytu w szpitalu po kryjomu przychodziła do mamusi, gotowała jeść i pielęgnowała chorych. – Za trud niech jej Pan Bóg wynagrodzi!

Dni mijały, Pan Bóg próśb moich wysłuchał. Mamusia czuła się coraz lepiej. Kilka dni i była już zupełnie zdrowa. Pracowała znów w *jasłach*, a ja nadal jej pomagałam. Praca teraz była dla nas o wiele cięższa i męcząca, ponieważ choroba wyczerpała nas bardzo. Twarze nasze były blade, bez śladu prawie rumieńca i opuściły nas dawne siły. Pomimo to musiałyśmy pracować.

Był już czerwiec. Wiosna była w całej swej pełni, tylko gdzieniegdzie w głębi lasu pod olbrzymimi pniami drzew leżało trochę zlodowaciałego śniegu. Poza tym wszędzie było zielono. Cała polana porośnięta była bujną trawą, w której rosło pełno rozmaitych kwiatów. Na bardziej piaszczystych miejscach rosły poziomki, których dojrzałe owoce stanowiły pożywienie ludzi. Czerwonawe krzaki malin odbijały się jak piękny deseń na zielonym kobiercu. W lesie było jeszcze piękniej. Świerki przybrały żywszą barwę, brzozy przybrały się w liście i baźki. Małe brzózki, chmiel dziki piął się po krzakach i w niektórych miejscach tworzył wprost ścianę, paproć przewyższająca wysokością człowieka, wysokie trawy różnego rodzaju oraz piękne najrozmaitsze kwiaty. Stanowiło to wszystko podszycie lasu. Rozbudziły się teraz i ptaszki, lecz były nie takie jak w Polsce. Maleńkie, było ich bardzo mało i śpiewały tak żałośnie, że gdy się słyszało ich śpiew, to jeszcze większy żal ogarniał człowieka niż zwykle. Tylko wron było pełno, przeraźliwie kraczących, a srok też nie brakowało. Chodząc po lesie często zdarzało się, że spod nóg wyleci spłoszony głuszec, czy też stado kurek, cietrzew lub zając. Przebiegnie sarna lub usłyszysz ponury mruk niedźwiedzia. Rzadko spotykało się łosia.

Ludzie zaczęli szykować ogrody. Karczowali pnie, skopywali ziemię i każdy starał się co mógł z ogrodowizny zasadzić. Ja również przy pomocy Dzidzi, Jadzi i Józia starałam się posadzić choć trochę kartofli i jarzyn. Wzięliśmy się do pracy. Pod-

kopywaliśmy pnie i mniejsze, porąbawszy korzenie, wyważaliśmy, natomiast duże podpalaliśmy. Paliły się kilka dni, aż wreszcie prawie zupełnie spaliły się. Teraz trzeba karczowisko skopać. Przy tym pomagała nam też mamusia. Choć nas wiele kosztowało pracy, ale mieliśmy prawie 320 m^2 czystego ogrodu. Za sukienkę mamusia wymieniła trochę kartofli, cebuli i innych nasion, które posadziliśmy. Za parę dni wszystko powschodziło i rosło bardzo szybko. Nie moglismy się doczekać, kiedy wreszcie można będzie kopać młode kartofle.

Dnie były coraz cieplejsze. Bagna, których w lesie było bardzo dużo, zaczęły parować, wskutek czego ponad lasem unosiły się kłęby pary. Wszędzie było pełno komarów, a wylęgarnią ich były również bagna. Ludziom pracującym w lesie komary dawały się we znaki bardziej niż innym. O wiele gorsze były muszki. Dla ochrony przed komarami ludzie nosili siatki, smarowali się naftą, dziegciem lub też palili papierosy. Przed muszkami nie było ochrony. Były one bardzo maleńkie, że nie można ich było dojrzeć w powietrzu. Chmury ich unosiły się w powietrzu, a natrafiwszy na człowieka, zasypywały oczy, nos, usta, dostawały się we włosy i cięły niemiłosiernie. Nie pomagały watowe spodnie, kufajka, nogi owinięte onucami ani chustki na twarzy. Nic nie pomagało. Nie wiadomo którędy dostawały się do ciała. Ludzie chodzili zapuchnięci. Na ciele tworzyły się rany, które jątrzyły się okropnie i później zlewały się w jeden strup. Bolały niemożliwie i nie chciały się zagoić. Każdy z naszych ludzi ledwie patrzał na oczy. Miejscowym ludziom, przyzwyczajonym do tego, nie szkodziło nic. Z czasem i nasi ludzie przyzwyczaili się trochę i stali się odporniejsi na odmienny klimat tutejszy.

Wszyscy czekali, kiedy wreszcie dojrzeją jagody i zaczną się grzyby. Zmniejszono normę chleba, wobec czego rozpoczął się na *posiołku* głód. Ludzie zaczęli gotować brzozową korę,

trawy różne, dziki szczaw i skrzypy. Dzieci jadły niedojrzałe poziomki i ziarna szyszek. Wybuchła epidemia brzusznego tyfusu. Ofiarą padłam i ja z siostrą Jadzią. Było to pod koniec czerwca. Pewnego wieczoru, jak zwykle, wiele osób zebrało się u nas na nabożeństwo czerwcowe. Śpiewaliśmy pieśni do Serca Jezusowego, gdy nagle zabolała mnie głowa i poczułam się bardzo źle. Zaraz się położyłam. Po pewnym czasie usnęłam i przebudziłam się dopiero nazajutrz. Głowa bolała mnie okropnie. Przyszedł doktor, zbadał mnie i od razu powiedział, że to na pewno tyfus. Zmierzył temperaturę – było 40 stopni. Dał zastrzyk, przepisał lekarstwo i odchodząc powiedział, że przyjdzie jutro. Z dniem każdym czułam się gorzej. Gorączka się wzmagała. Codziennie odwiedzał nas doktor, widziałam, że rzeczywiście współczuł nam i rozumiał naszą niedolę, pomimo że był Rosjaninem. Pochodził z Ukrainy i 10 lat temu spotkał go podobny los do naszego. Wiele przeżył sam, wiele utracił, toteż nic dziwnego, że doskonale rozumiał niedolę Polaków. Był zawsze wyrozumiały i szedł na rękę, za co często sam otrzymywał wymówki, spotykały go przykrości od komendanta.

Byłam tak słaba, że nie mogłam się podnieść o własnych siłach. Dni wydawały mi się bez końca. Oprócz rodzeństwa i mamusi, która pielęgnowała nas (nas, bo w dwa dni po mnie zachorowała i Jadzia), nie widziałam nikogo. Nikt do nas nie przychodził, tylko mamusia czuwała nad nami. Nie chodziła do pracy, sprzedawała ostatnie rzeczy, ażeby tylko nam zdrowie przywrócić. Chcieli nas zabrać do szpitala, lecz mamusia nie pozwoliła. Słyszałam, jak drżącym z żalu głosem mówiła do doktora: – „Straciłam męża, straciłam dwoje dzieci. Przy tych będę czuwała ile mi sił wystarczy, a do szpitala nie oddam." (Bo rzeczywiście, że ze szpitala mało kto wracał żywy. Mówiono, że doktorom płacono za pozbawienie życia każdego Polaka). Kochana Mateńka, jak anioł czuwała przy nas dzień i noc.

Ja tymczasem czułam się coraz gorzej. Już drugi tydzień temperatura nie spadała i wciąż było 40 stopni. Raziło mnie światło dzienne. Prawie wciąż leżałam z zamkniętymi oczyma, a myślami zawsze byłam tam, pod rodzinną strzechą w ojczystej ziemi. Często zdawało mi się, że jedziemy... pociąg pędzi poprzez pola i lasy... wreszcie jesteśmy w Białozórce, spotykam się z koleżankami i opowiadam im swoje przeżycia. To znów, że jestem w domu, widzę wszędzie opustoszenie, oglądam każdy kąt, sprawdzam czego brakuje, po czym udaję się do *hołowy* komitetu i żądam zwrotu i wynagrodzenia za krzywdy. Pewnego dnia przed wieczorem zdawało mi się, że nad moim łóżkiem stoi Pan Jezus z otwartym sercem i te słowa usłyszałam: „Jam Ojcem waszym. Dziecię moje, to o co mnie prosisz, otrzymasz, bo ty mi ufasz i serce twoje kocha mnie." – „Jezuniu! Mój Panie i Ojcze!" – krzyknęłam i rzuciłam się na twarz. Nagle otworzyłam oczy, coś zimnego dotknęło mojej twarzy. Ujrzałam mamusię. Klęczała przy mym łóżku i modliła się prawie półgłosem. Po twarzy jej spływały rzęsiste łzy. Łzy mamusi bolały mnie bardzo. Wzięłam jej rękę, przysunęłam do ust i prosiłam, żeby się uspokoiła, zapewniając, że się lepiej czuję. W rzeczywistości zdawało mi się, że nadchodzi chwila ostatnia w mym życiu. Że za chwilę pożegnam ten świat i odejdę tam, gdzie mój Tatuś. Z trudem otwierałam oczy, ażeby ten ostatni raz spojrzeć na najdroższe osoby. Stałam się obojętna na wszystko. „Mateńko!... nie opuszczaj mnie" – wyszeptałam. Zmorzył mnie sen. Choroba się przesilała. Kiedy się przebudziłam, czułam się zupełnie bezsilna. Gorączka mnie opuściła, tylko byłam prawie bezwładna. Powoli zaczęło mi wracać zdrowie.

Minęła epidemia. Coraz częściej zaczęli nas odwiedzać znajomi. Pewnej niedzieli przyszła do mnie Janka Kułakówna i przyniosła wesołą nowinę: „24 sierpnia wyjeżdżamy do Polski". Liczyłam dni. Były długie okropnie. Lato miało się już ku

końcowi. Ludzie zbierali jagody, grzyby, szykowali opał na zimę. Kiedyż ja będę mogła chodzić i pójść do lasu nazbierać czernic czy też słodkich poziomek? Przy pomocy mamusi zaczęłam codziennie wychodzić na podwórze. Nogi uginały się pode mną, siły mnie opuszczały. Co chwilę siadałam. Po kilku dniach zaczęłam chodzić, krok za krokiem, ale o własnych siłach. Chodziłam po ogrodzie, po polanie koło domu i zbierałam poziomki, które jeszcze gdzieniegdzie ukryte pod liśćmi utrzymały się i były takie słodkie jak syrop. Upływały mi tak dni. Co dzień byłam zdrowsza i silniejsza. Jeszcze kilka dni i będę zupełnie zdrowa.

Jesień była cudna. Dni były pogodne, słoneczne, rzadko zdarzały się burze, którym zwykle towarzyszyły grzmoty i pioruny i padał deszcz. Przy wschodzie słońca las cały jak gdyby był spowity w szatę purpurową, która zmieniała się w różowawą powłokę i wreszcie ginęła. Słońce złotą tarczą wypłynęło na niebo. Wszystko co żywe rozkoszowało się w jego ożywczych promieniach. Różnobarwne motyle unosiły się w powietrzu, w którym migały tysiące barw. Wśród prawie czarnych świerków, gęsto przetykanych potężnymi brzozami o złoto-rdzawych liściach, brązowe topole oraz tu i ówdzie czerwony klon, dzikie wino lub chmiel. Jarzębina przystrojona w czerwone korale, piękna jak wiejskie dziewczę z Podola, zwracała na siebie uwagę każdego przechodnia. Leśne dzwonki podnosiły swe liliowe główki ku górze. Gdzieniegdzie stał pozbawiony życia *suchostoj* [uschłe drzewo], na którym zawsze siedziało kilka dzięciołów, a który był jakby ich magazynem żywnościowym, bo pod korą żyła moc korników. Rzeka tędy przepływająca płynęła wolno, a w zielonkawych jej wodach rozkosznie igrały promienie słoneczne. Przy zachodzie słońca las i cały świat kąpał się w złotych falach, dopóki nie zaszło zupełnie. Wówczas nawet przyroda układała się do snu, ażeby raniutko znów obudzić się i cie-

szyć się życiem dopóki jeszcze czas. Dopóki się da. – „Gdybyż to było w Polsce..." – pomyślałam i łzy zasłoniły mi oczy.

Pewnego pięknego poranka wraz z kilkoma koleżankami wybrałyśmy się na Kamionkę po maliny. Choć było daleko, ale malin było tam bardzo dużo, w dodatku były duże i słodkie. Jakością swą przewyższały ogrodowe. Nieraz słyszałyśmy o niebezpieczeństwie, jakie tam mogło grozić, lecz nie przekonane osobiście, nie przypuszczałyśmy, że rzeczywiście coś podobnego może nas spotkać. Szłyśmy pospiesznie, opowiadając sobie, kto ile już przyszykował na zbliżającą się zimę: grzybów, *klukwy* [żurawina], borówek, suszonych czernic i powideł – te oczywiście bez cukru. Na ten temat nie chciałam w ogóle mówić, bo u mnie było najmniej. Ciągłe choroby, więc któż miał robić zapasy.

Nie oglądnęłyśmy się nawet, a już byłyśmy u celu. Oczy nasze uśmiechały się zadowoleniem na widok dużej ilości ślicznych malinek. Łodygi wysokością swą często przewyższały człowieka, a pod ciężarem owoców uginały się ku ziemi. Wygłodniałe, rzuciłyśmy się na maliny i poczęłyśmy szybko zbierać najpierw do ust. Gdy już najadłyśmy się, wówczas zaczęłyśmy zbierać do naczyń, a każda z nas oprócz wiadra miała koszyk. Bo iść daleko, to przynajmniej nie darmo i nazbierać tyle, ile się da unieść. Zbierałyśmy na wyścigi. Która więcej i prędzej? – „Ja już mam pół wiadra!" – krzyknęłam zadowolona, że mi tak szybko idzie, bo zbierałyśmy dopiero niecałą godzinę. – „A ja mam więcej niż pół" – powiedziała zbierająca tuż obok mnie Ola Łozińska. – „Ja to mam już prawie pełno"– odezwała się Aniela G., która zbierała nieco dalej i robiła to nadzwyczaj szybko. – „Jak skończę, to ci Elżuniu pomogę" – powiedziała. Tak zbierałyśmy, uprzyjemniając sobie pracę przyśpiewkami i co chwila nawoływałyśmy „u-u-u-ha", które dźwięcznym echem rozlegało się po lesie i zaraz słychać było kilka równoczesnych głosów odpowiedzi, że są i nie zbłądziły.

Wtem od strony rzeki, przepływającej niedaleko, dał się słyszeć szczęk, łamanie gałęzi i jak gdyby kroki. Huknęłam na zbierające i wnet byłyśmy razem. Naczynia były już prawie pełne malin. – „Czy słyszałyście chrzęst i łamanie gałęzi?" – „Tak, ale to na pewno ktoś tak jak i my zbiera maliny" – odpowiedziało mi kilka głosów. – „Więc napełniajmy naczynia szybko i wracajmy do domu, bo już słońce spory kawałek skręciło z południa." Aniela już nazbierała pełno i teraz pomaga mnie. Jeszcze oparę minut i będzie pełno. – „Tylko, dziewczynki, nie odchodźcie od nas daleko" – dodałam i wzięłyśmy się do pracy, żeby już wreszcie nazbierać. Bo jakże z niepełnym wracać do domu? Wstyd.

Wtem znów dało się słyszeć łamanie gałęzi i coraz bliższe kroki i niby pomruk. Ogarnął nas tym razem lęk. Zawołałam wszystkich. – „Ja się trochę boję" – powiedziałam do Anieli. – „Ten łoskot jest niezwykły. Chodźmy już do domu." – „Ale najpierw chodźmy się napić wody" – odrzekła mi. Niedaleko przepływała nieduża wprawdzie rzeczka Wiszera. Poszłyśmy więc we dwie, reszta pozostała czekając na nas. Nie doszłyśmy jeszcze do rzeki, płynącej w dolinie, gdy usłyszałyśmy tuż niedaleko wyraźne mruczenie. – „Niedźwiedź" – krzyknęła Aniela przestraszona. – „O tam! Patrz! Lezie pod górę ku nam."

Rzeczywiście, ujrzałam olbrzymie cielsko niedźwiedzia. Brunatne jego futro trudno było rozpoznać między pniami drzew i wśród gąszczu o barwie również prawie brunatnej. W pierwszej chwili nie wiedziałam, co mam robić. Usiadłam na ziemi, gdyż zrobiło mi się zimno ze strachu, słabo i wyraźnie czułam, że jestem blada jak trup. Co zresztą powiedziała Aniela. Wkrótce jednak zerwałam się na równe nogi i obie poczęłyśmy biec w kierunku, gdzie pozostała reszta. – „Uciekajmy, niedźwiedź!" – krzyknęłam. Wiadra były ciężkie, więc je zostawiłyśmy. Wzięłyśmy koszyki i co tchu i siły w nogach poczęłyśmy uciekać.

Od domu dzieliło nas około 16 kilometrów. Biegłyśmy tak bez przystanku, dopóki nie znalazłyśmy się na wyrębie. Tu odpoczęłyśmy. Całą piersią wchłaniałam powietrze. Zapomniałam nawet o zmęczeniu, byle by jak najdalej od niedźwiedzia, a jak najprędzej być w domu. Po chwili odpoczynku ruszyłyśmy, tym razem już wolniej. Spojrzałam do koszyka. Było nieco więcej niż pół. Rozsypały się jak biegłyśmy, ale to nic. Chwała Bogu, że wyszłyśmy cało. Zachodziło już słońce. Lekki powiew wiatru przelatywał pośród gałęzi, które monotonnie szumiały, niby kołysankę do snu. Ciemno już zupełnie. No, ale nareszcie jesteśmy w domu. Chwała Bogu! – „Dobranoc!" – rozległo się – „tylko pamiętajcie, jutro pójdziemy po wiadra". Rozeszłyśmy się każda do swego domu. Wszedłszy do mieszkania przywitałam się z mamusią, całując jej rękę. Niecierpliwie oczekiwała mnie, obawiając się, aby mi się coś złego w lesie nie przydarzyło. Opowiedziałam natychmiast o przygodzie, jaka nas spotkała. – „Szkoda tylko wiadra" – powiedziałam.



Nazajutrz, nie mówiąc o niczym mamusi, poszłyśmy z panią Sudzicką po wiadra. Znalazłyśmy wszystkie na miejscu, tylko jedno było przewrócone. Pozbierałyśmy maliny z ziemi, pomogłyśmy narwać do pełna i z pełnymi wróciłyśmy około godziny trzeciej po południu do domu. Tym razem nie widziałyśmy w lesie nikogo i nawet nie było nic słychać w pobliżu. Widocznie niedźwiedź tylko tędy przechodził, bo w kilka dni potem dowiedziałyśmy się, że koło Kamionki niedźwiedź rozszarpał dwa konie, które się tam pasły. Postanowiłam więcej nie chodzić na tak dalekie wyprawy. Ale tak się tylko mówi, gdy się wyrwie ze szponów niebezpieczeństwa, a postanowienie wnet się zmienia.

Upływały piękne dni jesienne, a z nimi nadzieja o wolności. Dni były coraz krótsze i chłodniejsze, aż wreszcie spadł niespodziewany śnieg. Był to jeszcze wrzesień. Śnieg padał bez przerwy i wzmagał się mróz. Zapowiadało się na srogą zimę, a u nas zaledwie parę kubików drzewa przygotowanego. Bo i któż miał przygotować. Gdyby nie długa choroba, na pewno było by inaczej. – Ale przecież Pan Bóg czuwa nad nami.

Płoty ogradzające każde podwórze, które miały 2 metry wysokości, były już zupełnie przykryte śniegiem i tylko tu i ówdzie widać było ciemniejsze linie, którymi rysowały się ścieżki. Praca w lesie nie ustawała, a oprócz tego zmuszano Polaków do uczenia się języka rosyjskiego. Nie pomagał opór ani żadne tłumaczenia. Temu, kto się na to nie zgodzi, groziła dość surowa kara, a oprócz tego ciągano do kantoru, do komendantury itd. Więc i młodzież, i dzieci, a nawet starsi – wszyscy chodzili do tzw. szkoły.

Nauka odbywała się po skończonej pracy od godziny 8-ej do 11-ej lub 12-ej w nocy. Uczyła nas Józia Goroszkiewicz, która mówiła, że jest Polką, czemu nie bardzo wierzyliśmy. Często były tak ostre pogadanki na temat ustroju państwa, że później sami żeśmy żałowali, gdyż nieraz rezultatem ich było wezwanie

do komendantury. Umówiwszy się, zeznawaliśmy wszyscy jednakowo lub udawaliśmy, że nic nie wiemy, czy też milczenie było całą odpowiedzią. Często zdarzały się hałasy i dość długie procesy, gdy jakiemuś komuniście na gazecie czy książce wydłubano oczy. Lecz winowajcy nigdy nie znaleźli, co nam bardzo imponowało. Wprawdzie co się umie, to się na plecach nie nosi, ale oni starali się wpajać, a szczególnie w młodzież, zasady komunizmu, co im się pod żadnym względem nie udawało. Na to byli za słabi. Z nami zawsze – Bóg i Ojczyzna!

Nauka jak nauka, ale powrót do domu był okropny. Pomimo że było blisko, bardzo często błądziłyśmy. Ciemne noce były powodem błądzeń. Bardzo łatwo było zejść z właściwej ścieżki, a wtedy co chwilę wpadało się po pachy w śnieg i wiele trudu kosztowało wydostanie się znów na ścieżkę. W niektórych miejscach śnieg był twardy i śmiało można było iść, w innych wpadało się jak w puch. Mrozy się wzmagały i dochodziły do 40 stopni.

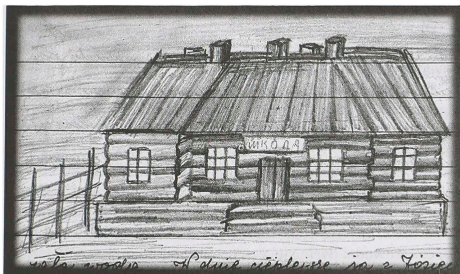
Pewnego razu wracałyśmy z Lodzią Nadwodną z lekcji. Noc była wyjątkowo cicha i trzymał silny mróz. Śnieg przy blasku księżyca lśnił. I zdawało się, że na ziemi świecą tysiące gwiazdek. Dochodziłyśmy już prawie do domu, gdy usłyszałyśmy jakiś jęk. Pomyślałyśmy, że tak nam się tylko zdawało i rozeszłyśmy się do swoich domów. Już byłam na schodach i znów usłyszałam jęk. – „Ludzie, ratujcie" – dobiegł mych uszu ochrypły głos. – „Na pewno pan Jordański" – przebiegło mi przez myśl. Szybko wbiegłam do mieszkania i zaświeciłam kopciuszek. Wszyscy już spali. Zbudziłam Jadzię, która natychmiast wstała i ubrała się. Wybiegłyśmy z mieszkania i udałyśmy się w stronę, skąd dochodził jęk. Rzeczywiście, był to pan Jordański.

Był to prawdziwy Polak, Ojczyznę swą kochał nade wszystko i zawsze był żołnierzem. Człowiek w podeszłym już wieku, w dodatku chory na serce, często upadał na zdrowiu i nie mógł pracować. Często chodził po *posiołku*, a Polacy wspierali go,

czym kto mógł. Był już tak słaby, że sam ledwie chodził. Teraz wracając do domu upadł w śnieg i nie mógł się sam podnieść. Ja z Jadzią pomogłyśmy mu wstać. Podziękował nam i powiedział, że pójdzie sam. Nie zdążyłyśmy dobiec do domu i znów upadł. Wróciłyśmy do niego i tym razem nie mogłyśmy mu dać rady. Zaczęłyśmy wołać do pomocy starszych, lecz p. Magda i Nadwodny odpowiedzieli nam, że są zmęczeni i wcale nie myślą wstawać.

Tymczasem zbiegło się kilku chłopców i przy ich pomocy zdołaliśmy go podnieść. Był okropnie ciężki. Podprowadziliśmy go jeszcze parę kroków. (Co chwilę ktoś z nas ześliznąwszy się ze ścieżki grzązł w śniegu.) I znów upadł twarzą w śnieg i począł charczeć. Ogarnął nas strach. – „Co teraz zrobimy?" – „Ty biegnij po doktora, a ja przyciągnę sanki" – powiedział jeden z chłopców. Pobiegłam co tchu. Na nieszczęście ani doktora, ani komendanta nie było w domu. Przyszłam z powrotem na miejsce, gdzie leżał prawie konający człowiek. Teraz było już tu kilku mężczyzn, którym sumienie nie pozwoliło być obojętnymi dłużej, radzili między sobą, co zrobić. Pomogłyśmy jeszcze włożyć pana Jordańskiego na sanki. Był zupełnie bezwładny i nieprzytomny. Słyszałam jeszcze, jak wyszeptał: – „Kochani rodacy, ratujcie mi życie! Ja chcę do Polski..." – i umilkł.

Obie z Jadzią wróciłyśmy do domu, a mężczyźni odwieźli go do kantoru. Tam przy ciepłym piecu do dnia następnego zakończył życie. Rodacy pochowali go z uszanowaniem i czcią. Na mogile postawili krzyż z tabliczką: „Tu spoczywa wierny syn Polski. Niech obca ziemia będzie mu lekką, a Bóg szczęśliwy spoczynek dać raczy." Na tym cmentarzu leżało już wiele osób, a nad ich mogiłami rosły płaczące brzozy i stare sosny i świerki, śpiewające odwieczną pieśń umarłym.



Zima wzmagała się. Przez kilka dni było już 58 stopni mrozu. Powietrze było tak gęste, że nie można było na dworze oddychać. W oknach szyby pękały, a w mieszkaniu zamarzała woda. W dnie cieplejsze ja z Józiem chodziliśmy do lasu, spuszczaliśmy suchą brzozę lub świerk i porżnięte i porąbane zwoziliśmy saneczkami do domu lub nosiliśmy na plecach. Nogi uginały się pod ciężarem. Ręce i nogi pomimo pracy kostniały z zimna. Pomimo trudu mieliśmy to zadowolenie, że mamusia wróci z pracy do ciepłego mieszkania i młodsze rodzeństwo nie będzie szczękało ząbkami z zimna. Łapaliśmy na sidła ptaszki i wrony, które ugotowane były wielkim przysmakiem. I tak upływały dni.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Ile radości przynosiły one dzieciom w Polsce! Teraz nikt z nas się tym nie cieszył, bo przecież wiedzieliśmy, że będą one pełne smutku i łez. Przyszedł dzień wigilijny. Nazwoziliśmy drzewa na cały tydzień, po

czym przy pomocy rodzeństwa zabrałam się do sprzątania. Pobieliłam płytę, podłogę porządnie wymyłam chlorkiem i ściany przybrałam gałązkami świerków. Czubek z dużego świerka, na którym było bardzo dużo szyszek, postawiliśmy w kącie mieszkania i przybraliśmy papierem i watą. Miało nam to drzewko przypominać cudną choinkę w Polsce.

Po skończonej pracy usiadłam na chwilę przy oknie, aby odpocząć. Na duszy było mi tak ciężko i ogarnął mnie żal i tęsknota. W domu panuje cisza, której nikt nie mąci. Mamusia nie krząta się przy przyrządzaniu wieczerzy jak niegdyś i nawet z pracy jeszcze nie wróciła. Jesteśmy tak daleko od Ojczyzny i nie mamy nikogo z bliskich osób. Nie ma i Tatusia. Tyle przeżyliśmy już nieszczęść i nie wiemy, co nas jeszcze czeka. Łudzimy się tylko nadzieją. Młodsze rodzeństwo półgłosem prowadzi dyskusję, czy też aniołek przyjdzie tak daleko z prezentami. – „Z Polski tutaj jest tak daleko i aniołek nie trafi" – powiedział Rysio i łezki zakrążyły mu w oczkach. Biedactwo... ja również nie mogłam się powstrzymać od łez i odwróciwszy twarz bardziej ku oknu tłumiłam w sobie ból.

Na niebie ukazała się pierwsza gwiazda, a z nią budzą się różne wspomnienia z ubiegłych lat. Nie zauważyłam nawet, jak do mieszkania weszła mamusia. Zdjęła palto i zmęczona całodzienną praca usiadła przy piecu. W mieszkaniu było ciepło jak nigdy przedtem. Choć tym chciałam uprzyjemnić ten święty wieczór. Rodzeństwo natychmiast otoczyło mamusię i poczęło zasypywać ją licznymi pytaniami. Gotując kolację widziałam, jak wstrzymując łzy starała się odpowiedzieć na każde z nich. Przyszykowałam kolację, białym prześcieradłem przykryłam stół, ażeby choć bielą przypominał ten stół wigilijny pod rodzinną strzechą. Miski z posiłkiem postawiłam na stole i wraz z mamusią zasiedliśmy wszyscy do stołu. Odmówiliśmy wspólnie modlitwę, po czym zaczęliśmy się łamać opłatkiem. Nikt z nas nie mógł

przemówić słowa. Coś w gardle dławiło. W oczach wszystkich błyszczały łzy i jak rzęsisty deszcz spływały po bladych policzkach. Bo i któż oprócz Ciebie, Boże, rozumie niedolę naszą i ból naszych serc... Nie ma wśród nas Tatusia i już nigdy nie będzie on z nami zasiadał do stołu. Życie swe oddał w ofierze Ojczyźnie, na straży jej granic. Nie słychać szczebiotu najmłodszych dwóch braciszków. Zmarli, nie wytrzymali ciężkich chwil niedoli.

Chwilę trwało milczenie, po czym spragnieni posiłku zasiedliśmy do wieczerzy, którą zjedliśmy bardzo szybko. Oprócz rzadkiej owsianej zupy nie było nic więcej. Chleb, którego był tylko mały kawałek, trzeba było zostawić na jutro do pracy, gdyż zarobek mamusi i mój był tak mały, że nie wystarczał, ażeby wykupić codzienną porcję chleba. Starając się oddalić smutek i żal pocieszaliśmy się nadzieją i słowami, które – pełne dobrej nadziei – otrzymałam przed paru dniami od Danusi Sinarskiej. Od niej też otrzymaliśmy opłatek. Płomień nadziei nigdy nie wygasał w duszy mojej i choćby iskierką tlił się w niej wciąż. Pocieszałam mamusię słowami, na jakie tylko mogłam się zdobyć. Zdławionym głosem odśpiewaliśmy kilka kolęd. Płynęły one głosem błagalnym do tronu Wszechmocnego i do żłóbka Bożej Dzieciny. Następnie udaliśmy się na spoczynek.

Długo nie mogłam zasnąć. Teraz nikt oprócz Jezuska i Jego Mateńki mnie nie widział, więc mogłam gorycz swej duszy wylać. Łzy gorące spływały mi bez ustanku z oczu. Poczułam, że poduszka była mokra. W duchu prosiłam Pana Boga, aby dał nam sił do przetrwania tych ciężkich chwil niedoli i dozwolił wrócić do kraju. Tak modląc się nie wiem jak długo, usnęłam.

Już od trzech tygodni pracowałam w *jasłach*. W dzień Bożego Narodzenia jeszcze było zupełnie ciemno, a już po domach chodził komendant z zastępcą i wszystkich wypędzali do roboty w lesie. Próbowaliśmy protestować, lecz widząc, że nic nie pomaga, wzięliśmy siekiery i piły, poszliśmy niby na robotę. Przez

całą drogę wszyscy szli w zadumie i tylko od czasu do czasu dał się słyszeć ochrypły głos starszego mężczyzny, który co chwilę upewniał się, czy nie błądzimy, bo jeszcze było w lesie ciemno.

Przyszliśmy na miejsce, gdzie mieliśmy pracować. Rozpaliliśmy ognisko i wszyscy usiedliśmy wokół niego. Jak pastuszkowie dążący do Jezuska, tak my, zmarznięci, rozgrzewaliśmy się przy ognisku, z dala od Ojczyzny i kościoła; pomimo wszystko całą duszą byliśmy w niej. Pomodliliśmy się wspólnie, po czym śpiewaliśmy kolędy, dorzucając co chwilę drzewa do ogniska. Rozmawialiśmy o różnych tematach, lecz wszystkie łączyły się ze świętami Bożego Narodzenia w Polsce. Ażeby słychać było, że pracujemy, parę osób na zmianę uderzało siekierami o kłodę, a stuk powtarzał się echem. Jak postanowiliśmy, tak uczyniliśmy. W tym dniu, tak świętym dla nas, Polaków-katolików, nie pracowaliśmy zupełnie. Nadszedł wreszcie tak oczekiwany wieczór i wróciliśmy do domu. Szczęśliwszym od Bożego Narodzenia był Nowy Rok. Silny mróz 55 stopni spowodował, że nikt nie pracował w tym dniu. Zima była coraz sroższa. Coraz cięższe wiatry, którym towarzyszyły śnieżyce, dawały się ludziom we znaki.

Przyszedł i luty. Drugiego lutego [1941 roku] wieczorem przyszłam do stołówki po owsiankę na kolację. I tu spotkała mnie, a zarazem całą naszą rodzinę, wielka niespodzianka. – „Pawlicka! Maria Pawlicka!" – powtórzył listonosz. – „Macie list". Nie wierzyłam. Kurczowo chwyciłam list i poczęłam patrzeć, od kogo przyszedł. – „Ach, od stryjka Adasia!" – krzyknęłam, a jednocześnie biłam się z myślami, bo skądże stryjek mógł wiedzieć, że my się tu znajdujemy. Rozerwałam kopertę i szybko pobiegłam do mamusi.

Rzeczywiście, był to list od stryjka Adasia Kaczmarskiego. Do głębi serca byłyśmy wzruszone. On o nas nie zapomniał. Długo nas szukał, aż wreszcie znalazł. Nasz adres otrzymał od

swej siostry, która była w Archangielskiej *obłasti*, również wywieziona. Tam był nasz sąsiad, p. Łozow z osady i pewnego razu przypadkowo dowiedział się, że to nasza rodzina. Adres nasz znał i podał go cioci Zosi, która posłała stryjkowi. Wówczas to on zaczął do nas pisać. Radość panowała wśród nas, bo przecież jest ktoś, kto o nas pamiętał. Kochany stryjek. Powiedział, że dopóki będzie żył i mógł, dopóty nam zawsze będzie pomagał. Na wiosnę otrzymaliśmy dwie *posyłki* i trochę pieniędzy. Było to dla nas wielką pomocą. Jakoś raźniej było nam na duszy. W serca na nowo wstąpiła niezłomna wiara w wolność i nadzieja. Dziękowaliśmy Panu Bogu za to i prosiliśmy o jedno: „Boże, daj wytrwać i wrócić do kraju."

Przyszła wiosna. Śniegi już oprawie stajały, ale dni były jeszcze bardzo zimne. Wypędzono nas na karczunek, tzn. olbrzymie drzewa wywalałyśmy z korzeniami, to wszystko się spalało, a ziemię kopano lub orano. Brygada nasza składała się z pięciu osób: ja, Hela Szydłowska, Marysia Bułka, Irka Musialik i Janka Kołacz. Na robotę szłyśmy zawsze razem. Niosłyśmy ze sobą każda butelkę czarnej gorzkiej kawy i kawałek chleba. Piły i siekiery zostawały w lesie, gdyż nosić je codziennie taki kawał nie sprawiało wcale przyjemności. Ciężka to była praca okrutnie, ale co zrobić – byłyśmy w niewoli i co nam kazano, musiałyśmy robić. Najpierw łopatami odkopywałyśmy ziemię koło wszystkich korzeni. Miały one nieraz parę metrów długości i były takie grube, jak dyszel przy kieracie, a nieraz grubsze. W odległości mniej więcej pół metra od pnia piłą przerzynałyśmy korzenie, potem podrąbywałyśmy je, a w końcu pchałyśmy wszystkie pień i drzewo wolno, z hukiem i łoskotem łamiących się gałęzi, spadało na ziemię ku naszemu zadowoleniu. Przy zwalaniu świerków lub cedrów, które to bardzo twarde mają korzenie i prawie pionowo w dół, że ani podrąbanie, ani poderżnięcie ich nie jest możliwe, robiłyśmy w ten sposób: jedna z nas wyłaziła prawie na sam czubek i chwiała całym drzewem,

jedna pchała pień, a reszta ciągnęła za gałęzie. Wtedy drzewo spadało powoli, tak że nigdy żadnego wypadku nie było. Później porżnięte drzewo rzucałyśmy na stosy i spalałyśmy. Wprawdzie zielone, świeże drzewo nie chciało się palić, ale musiałyśmy dopóty palić, dopóki się zupełnie nie spaliły. Inaczej nie przyjęto roboty. Od wykarczowanego 1 m^2 płacono 4 kopiejki. Przy zdawaniu pracy oszukiwałyśmy dziesiętnika jak mogłyśmy i zawsze się nam udawało. Naczelnik karczunku Zarkij zawsze mi wierzył, bo kiedy przychodził sprawdzać pracę, udawałam, że rzeczywiście pracuję z zapałem. W rzeczywistości robiłam tak, żeby nie napracować się, bo przecież i siły nie miałam, a dobrze zarobić.

Z końcem maja a początkiem czerwca zaczęłyśmy na tym karczunku sadzić kartofle dla *Bum-kombinatu.* Marny był przy tym zarobek, ale przynajmniej nieraz napiekło się kartofli w lesie na obiad, a często udało się i do domu przynieść. Każda, oczywiście po kryjomu, napychała pełno kartofli za spodnie, cholewy, za pazuchę i w rękawy i tak obładowana wychodziła do lasu, niby załatwić się. Tam w zaznaczonym miejscu zakopywała kartofle do ziemi. W powrotnej drodze do domu zabierała je i przez las, unikając spotkania się z kimkolwiek, przynosiła je do domu. Jeżeli jeszcze gdzie dogorywał stos drzewa, to w ten żar rzucałyśmy tyle kartofli, aby nam przynajmniej na obiad starczyło. Z niecierpliwością czekałyśmy południa. Gdy przyszło, wszystkie chowałyśmy się w miejsce, gdzie by nas nikt dostrzec nie mógł i tam raczyłyśmy się gorącymi pysznymi kartofelkami. Lecz to się prędko skończyło.

Już wszystkie kartofle posadziłyśmy. Te, cośmy je pierwsze posadziły, już powschodziły i trzeba je było szarować. Szalona była przy tym norma. Za 2500 m^2 płacono 4,5 rubla. Przy tym chwast był trochę niżej kolan. Z początku męczyłyśmy się okrutnie, bolały nas krzyże, bo jak można cały dzień chodzić zgiętą, sapać i w dodatku zbierać chwast. Taką pracą daleko

byśmy nie ujechały. Prędko nauczyłyśmy się robić „po kołchoźnemu". Chwast zbijałyśmy – jak to się mówi – po łebkach i wprost biegałyśmy po polu. W ten sposób wyrabiałyśmy normę, ku wielkiemu zadowoleniu dziesiętnika i naczelnika. Tymczasem chwast rósł i wystarczyło, aby lekka rosa podniosła zdeptany chwast. Na jednym miejscu pracowałyśmy kilka razy.

Trzeba było tę pracę zostawić, bo trawa była już duża i trzeba było oczyścić sianokos. Robiło się to co rok. Latem drzewo z lasu zrzucało się na łąki, natomiast na wiosnę z łąk do lasu. Ale po cóż nam więcej o tym mówić. Wszyscy wiemy doskonale, że w tym państwie wszędzie jest taki porządek. Skończyły się już wszystkie prace i wszyscy ludzie pójdą na sianokos, i my też. Radziłyśmy, co z tym fantem zrobić, gdyż żadna z naszych dziewczynek nie miała zielonego pojęcia o tym, jak się kosi. Następnego dnia dano nam kosy i pierwszy dzień wszyscy poszliśmy kosić nad Wierzajką. Droga prowadziła po zwalonych pniach drzew przez bagna. Dla bezpieczeństwa kosy przymocowaliśmy przy drzewcu i podpierając się szliśmy niezbyt szybko. Dotarliśmy wreszcie do rzeki Wierzajki, która nam przecinała drogę. Musieliśmy ją przejść w bród. Zdjąwszy obuwie, przerzucilismy je na drugą stronę, sami szliśmy wziąwszy się pod ręce, bo prąd rzeki był bardzo bystry i woda bardzo zimna. Nareszcie przyszliśmy na miejsce. Trawa wysokości człowieka, wśród niej moc krzaków. Zaczęliśmy kosić.

Z początku szło nam niesporo, ale już pod wieczór kosiłyśmy zupełnie dobrze. Na drugi dzień byłyśmy na tym samym miejscu. Komary cięły niemiłosiernie. Pomiędzy krzakami kosić było bardzo ciężko. Naczelnik powiedział nam, że już więcej tu nie przyjdziemy. Ucieszyłyśmy się, bo myślałyśmy, że koniec już z sianokosem. Grubo żeśmy się omyliły. Naczelnik kazał nam wziąć z domu naczynia na gotowanie jedzenia. Następnego dnia 16 osób (tj. ja, Hela Sz., Irka M., Michasia M., Marysia B.,

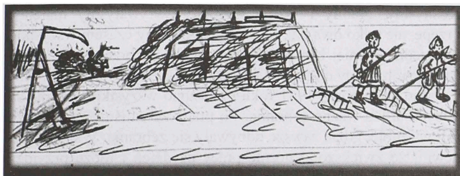
Hela Z., siedem pań starszych i jeden mężczyzna brygadier, p. Rabiarz) odprawiono na sianokos 18 km od Piszczanki, na Ciuroczną. Szliśmy długo. Droga wiodła przez las, wciąż pod górę. Żwir i kamienie kaleczyły nogi.

Nareszcie doszliśmy. Na prawie samym szczycie rozciągała się olbrzymia polana, cała zielona i jak kobierzec przetykana kwiatami. Od strony zachodniej piętrzyła się olbrzymia skała granitowa. Na tej skale była wyryta tablica z francuskim napisem i 1815 rok. Naprzeciw widniały olbrzymie góry Burkoczyny. Wokół widać było na kilkaset kilometrów. Wszędzie, gdzie okiem sięgnąć, czerniał las i tylko gdzieniegdzie jak plamki widać było niewielkie zabudowane polanki. Stąd doskonale było widać Krasnowiszersk, Czerdyń, Solikamsk i inne mniejsze miasteczka. Kamień z tych skał był biały i tak twardy, że krajał szkło. Na polanie przy jej skraju tuż pod lasem była maleńka chatka, w której mieliśmy mieszkać. Jedne drzwi, trzy maleńkie okienka i po obu bokach jednolite prycze stanowiły całość. Zaraz porobiłyśmy sobie piecyki tuż koło chatki, na dworze, gdzie później gotowałyśmy jedzenie.

Wstawałyśmy raniutko, po umyciu i modlitwie gotowałyśmy śniadanie. Zjadałyśmy szybko i gdy wschodziło słońce, już kosiliśmy. Kosiłyśmy razem ze starszymi i prawie zupełnie dorównywałyśmy im. Dni upływały nam wypełnione trudem. Spałyśmy w chatce (*izbuszka*) na pryczach, tuż jedna obok drugiej. Często w nocy przez dziurę w oknie wpadała wiewiórka, lecz nigdy nie udało się nam jej złapać. W las daleko nigdy nie chodziłyśmy, bo łatwo można było tu spotkać niedźwiedzia.

Często, chcąc nastraszyć dziesiętnika, chowałyśmy się w krzakach lub pod prycze. Gdy dziesiętnik zauważył, że parę osób brakuje, a od nikogo nie dowiedział się, gdzie są, szukał, złościł się i jednocześnie bał się aż mu się spodnie trzęsły. Komendant przykazał mu pilnować nas jak własnego oka w głowie,

ażeby która z nas nie uciekła. Za to groziłaby mu kara więzienia. W drugą sobotę naszego pobytu na Ciurocznej ja i Marysia Bułka zwiałyśmy do domu, na Piszczankę. Wprawdzie i nam się trochę oberwało, ale my już do tego przyzwyczaiłyśmy się. Zadowolone byłyśmy, że postawiłyśmy na swoim. Dziesiętnik oberwał porządnie i drugi raz już się nam nie udało zrobić *wychodnoj* [wychodne] na Piszczance.



W przeciągu dwóch tygodni wszystko siano było skoszone, zgrabione, wysuszone i złożone w stogi. I tu oszukali nas porządnie. Niech się najedzą czyjąś pracą, a łzami napiją. Po dwóch tygodniach wróciłyśmy na Piszczankę.

Tu były już poziomki, zaczynały się czernice i maliny. Las cały pachniał życiem, śpiewały tutejsze ptaszyny, stukał dzięcioł w spróchniałe pnie drzew, a echo rozlegało się po lesie. Tęsknota za ukochaną Ojczyzną, za rodzinną strzechą, za tym pięknym sadem, za najbliższymi; często raniąc mi duszę pogrążała mnie w głębokiej zadumie i nieraz stałam tak dłuższą chwilę, aż mnie ktoś z tej zadumy rozbudził. Wciąż widziałam gruzy naszego domu, połamane drzewa i samotną, opuszczoną mogiłę Tatusia, wśród płaczących brzóz na cmentarzu w Białozórce.

AMNESTIA

Zbliżała się jesień i zbliżały się prace dla tej pory właściwe. Kosiłyśmy, grabiły i składały groch. Wyrywałyśmy marchew i rzepę, ale tylko dwa dni, bo bali się, żebyśmy czasem wszystkiej nie zjedli. Później karczowałyśmy młody las brzozowy i jednocześnie robiłyśmy miotły dla kóz na zimę z gałązek brzozowych.

Dnia 6 sierpnia 1941 roku ogłoszono wszystkim, że ma się odbyć bardzo ważne zebranie. Po pracy zebraliśmy się w dużej sali w klubie, gdzie zawsze odbywały się zebrania. Wszyscy byli pewni, że zwiększono normę pracy na dzień i może przyjdzie nam znów na *Krasną Armię* poświęcić parę dni pracy, co się bardzo często zdarzało.

Na scenie, za stołem zasłanym jak zwykle czerwonym materiałem, siedział tylko komendant i jego sekretarz. Po chwili komendant wstał i spuściwszy w dół oczy począł mówić: – „*Wy wolnyje polskije grażdanie. Rodina wasza objazatielno budiet swobodnaja i wy do niej wiernioties*"' [Jesteście wolnymi obywatelami polskimi. Wasza ojczyzna na pewno zostanie wyzwolona i wy do niej wrócicie] – mówił jeszcze coś o wojsku, a potem okrzyk: „*Pust' żywiot swobodnaja Polsza!* " [niech żyje wolna Polska]. – Wszyscy krzyknęli z całej piersi, jak kto mógł najgłośniej, trzykrotnie: „Niech żyje!"

Jak to? – Ten, co niedawno mówił, żebyśmy nie myśleli o wolności, że tu poginiemy. Ten sam teraz powiedział nam, że

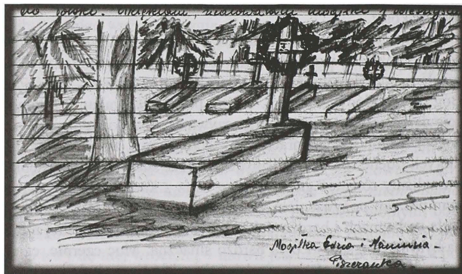
jesteśmy wolnymi i wkrótce wrócimy do kraju. Ten sam teraz wznosił okrzyk na cześć naszej kochanej Polski. Nie chcieliśmy wierzyć; zdawało się nam to tylko snem. Powtórny okrzyk: „Niech żyje Polska i jej armia" – krzyczeliśmy wydobywając wszystkie siły. Rzeczywiście wolność! Boże, cóż za szczęście spotkało nas. Wysłuchałeś modlitw naszych. Tak serce każdego wznosiło się z podzięką ku Ojcu niebios. Łzy radości i szczęścia cisnęły się do oczu każdemu, dławiły w gardle i spływały po policzkach. Płakali również i Rosjanie, którzy 11 lat temu zostali tu zesłani i takiej jak my wolności na pewno nie doczekają nigdy. Rozległy się potężne słowa naszej roty: „Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród". Hymn „Jeszcze Polska nie zginęła". Komendant jeszcze dodał, że będzie można wyjeżdżać z *posiołka* dokąd się chce tylko w oznaczonych czterech *obłastiach*, ale na własny koszt.

– „Masz sęk, a w sęku dziura – co teraz zrobimy, za co my się stąd wydostaniemy? Już prawie nie ma nic do sprzedania" – rzekła zaniepokojona mamusia. – „To nic, mamusiu, jakoś Pan Bóg da" – odpowiedziałam. Od tej pory pracowałam rzeczywiście dzień cały, prawie nie odpoczywając. Oszukiwałam jeszcze więcej. Mamusia też pracowała. Rodzeństwo zbierało jagody, których trochę sprzedawaliśmy, trochę zaś suszyliśmy dla siebie. Suszyliśmy również grzyby, które teraz z kartoflami były jedynym naszym pożywieniem. Bardzo dobra była również *klukwa*; rosła na bagnach i bardzo dobry był z niej barszcz, a zimą można było ją jeść samą i była bardzo smaczna. Moc czernic, czerwonych borówek, ożyn i grzybów dawała zajęcie ludziom poza całodzienną pracą, kto chciał trochę zabezpieczyć się na zimę.

Jesień była w całej pełni. Pożółkłe liście drzew zaczęły opadać. Coraz częściej padały deszcze i błoto było niemożliwe. Często bywały przymrozki, a nawet prószył śnieg. Wszyscy prawie szykowali się do podróży, lecz nam trudno było o tym

myśleć. Nikt na całym *posiołku* nie znajdował się w tak ciężkim i trudnym położeniu jak my. Zrezygnowani, nic innego nie widzieliśmy przed sobą, tylko że będziemy musieli zostać na zawsze w tych strasznych dzikich lasach. – Niech się dzieje wola Boża – On wie, co robi. To była nasza jedyna pociecha.

Pewnego dnia ni stąd, ni zowąd dowiedziałam się, że młodzież od 15 lat zapisują do PCK. Natychmiast złożyłam podanie, a ponieważ do piętnastu lat jeszcze brakowało mi sporo, dodałam sobie więcej niż półtora roku. Przyjęto mnie, z czego wszyscy cieszyliśmy się niezmiernie, bo kto został przyjęty, miał jechać za darmo. Przygotowywaliśmy się i my do drogi. Już wszyscy prawie wyjechali.



Dnia 29 sierpnia 1941 r. mieliśmy wyjechać z Piszczanki. Wszystko było już spakowane. Poszliśmy jeszcze na cmentarz pożegnać się z najdroższymi, którzy tu pozostaną na zawsze. Żal ogarnął serca nasze, wyciskając gorące, słone łzy. Nie doczekali tego szczęścia, którego tak doczekać pragnęli. Pozostaną tutaj,

wśród dzikich lasów, z dala od swych bliskich. Pozostanie ich tu spora garstka. Starsi, młodzież i dzieci, a wśród nich i nasz Edzio z Maniusiem. Zdawało mi się, że słyszę głos tych aniołków, ażeby ich zabrać ze sobą do Polski. Uklękłam, ucałowałam mogiłki i odeszliśmy. Ostatnim spojrzeniem żegnałam ich. Nikt tu nie przyjdzie, nie odwiedzi już biednych sierotek. Pomyślałam, że przecież są razem z Tatusiem i siostrzyczką Terenią w niebie i nie będą już cierpieć głodu i niedoli. Pożegnaliśmy ich już na zawsze. Co chwilę odwracałam się, kierując wzrok w stronę cmentarza. – „Może i my gdzieś... w drodze... złożymy swe kości i nie zdołamy dojść do celu" – przebiegło mi przez myśl. – „Niech nas Pan Bóg ma w swej opiece. Jego niech się dzieje wola."

Od samego rana było pochmurno i zanosiło się na deszcz lub śnieg. Opuszczamy *posiołek*. Radość panuje wśród nas na myśl, że jedziemy do domu, którym jest ukochana nasza Polska. My, państwo Wojciechowscy i Szottowie, spakowaliśmy swoje rzeczy na jeden wóz. Wszystkiego razem z dziećmi było mniej, niż u innych samych rzeczy. (Prawdę powiedzieć, to niektórzy samych rzeczy mieli na dwa wozy). Starsze dzieci razem z dorosłymi szły na piechotę.

Ja z Marysią Szottówną zostałyśmy w lesie, mniej więcej około 5 km od Piszczanki. Były tu pola kołchozowe, gdzie rosła doskonała marchewka czerwona, której postanowiłyśmy narwać. Skryłyśmy się za krzakami i czekałyśmy odpowiedniej chwili. Nareszcie! Na polu nie było nikogo. Wyszłyśmy zza krzaków i chyłkiem pobiegłyśmy po marchew. Jedna z nas rwała, a druga obrywała nać, żeby na darmo nie zajmowała miejsca w torbie. Rwałyśmy siedząc w kucki, aby nas przypadkiem kto nie zobaczył, bo trzeba wiedzieć, że marchwi pilnował stróż. Już narwałyśmy pełne woreczki i tylko trochę brakowało do pełnych chustek. Wtem usłyszałyśmy, że ktoś za zakrętem rozmawia. Natychmiast obie czmychnęłyśmy w pobliskie krzaki, które osło-

niły nas swymi gałęźmi. Spomiędzy krzaków widać było doskonale, co się działo na polu. Zza zakrętu wyszło dwóch mężczyzn. Jeden z nich, z karabinem na ramieniu, skierował się na miejsce, gdzie leżała oberwana nać. Oglądnął się na wszystkie strony, obszedł pole w poprzek i znów stanął na tym samym miejscu, porozglądał się i zdjąwszy z ramienia dubeltówkę, zaczął ją nabijać. Ogarnął nas trochę lęk, lecz głowy nie traciłyśmy. Zaczęłyśmy obmyślać, jak by stąd uciekać. I najpierw powoli, później trochę prędzej posuwałyśmy się coraz głębiej w las. Tu wyprostowawszy się, pewne, że nikt nas nie widzi, biegłyśmy co tchu. Po chwili zatrzymałyśmy się, żeby odpocząć. Usiadłysmy za stosem drzewa, obawiając się, że gdyby kto szedł, mógłby nas zobaczyć. Było już późno i zaczął padać deszcz. Trochę zmarzłyśmy, ale o tym nie myślałyśmy. Ważniejsze było, że był już prawie wieczór, a my miałyśmy jeszcze przed sobą 10 km drogi, uszłyśmy 21 km. Przyśpieszyłyśmy kroku i tak szłyśmy prawie milcząc. Wokół panowała cisza i tylko szum sosen jak ciche echo rozlegał się wokoło.

Z daleka widać zarysy miasta Krasnowiszerska. Już coraz lepiej widać. No i już nareszcie jesteśmy razem z naszymi na przystani. Okrętu, a raczej *barży* [barki] jeszcze nie ma i przyjdzie nam poczekać. Czekaliśmy dzień, drugi, trzeci i tydzień, a *barża* nie przychodzi. Codziennie chodziliśmy na pola (kartofliska) kopać kartofle, których, pomimo że były już wykopane, połowa była w ziemi. Tak żyliśmy. To znów urżnęło się kilka metrów drzewa i już było parę rubli na zupę. Wszystkich pieniędzy mieliśmy 400 rubli, co na naszą rodzinę było niczym na taką wielką podróż i nie wystarczyłoby nawet na bilety.

Aż tu pewnego dnia po południu wszystkich, którzy zapisali się do wojska, wezwano do głównej komendy w Krasnowiszersku. Między innymi i mnie. Poszliśmy. Nie wiedzieliśmy, co to ma znaczyć, aż wreszcie oznajmiono nam, że ci, co zostaną przy-

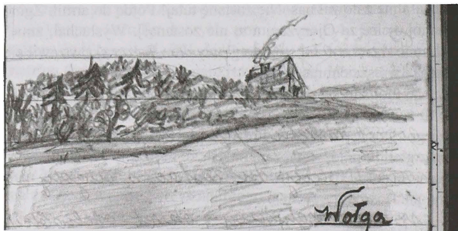
jęci, pojadą za darmo, rodzina ze zniżką. Teraz kwestia, kogo przyjmą. Każdego po kolei wzywano do gabinetu komisarza, który biorąc pod uwagę wzrost, wiek, wygląd i stan, przyjmował lub odrzucał. Przyszła kolej na mnie. Stanęłam jak przed sędzią. Tuż przy nim siedział pan Rakowski, kolega Tatusia z jednej osady. To dodawało mi trochę odwagi. Na pytania odpowiadałam z korzyścią dla mnie. Pomimo wszystko nie chciał wierzyć, że skończyłam 16 lat. – „To niemożliwe" – mówił – *„tož to jeszcze ditia"* [tож to jeszcze dziecko]. Zaczął mnie przekonywać, że jestem za młoda i za mała, aby pracować i że lepiej będzie jak pozostanę. Słów tych nie mogłam strawić. Łzy zawirowały mi w oczach, ale wstrzymywałam się, aby nie wybuchnąć płaczem. „Nie dam za wygraną" – pomyślałam i słowa następujące wyrwały mi się: – *„Siegodnia smotritie, czto ja maleńka i mołodaja, czto mnie budiet tiażeło rabotat', a togda nie smotrieli, kogda bat'ka ubili i nas sirot wywiezli zdies' na Ural. Kak ja i mama tiażeło rabotali, gołodom i chołodom primirali, etogo nikto nie widieł i nie żaleł. Nie ostanus' zdies'! Pojdu w armiu. Pogibnu kak moj bat'ko za Rodinu, a zdies' nie ostanus'!"* [Dzisiaj widzicie, że jestem mała i młoda, że będzie mi ciężko pracować, a wtedy nie widzieliście, kiedy ojca zabili i nas, sieroty, wywieźli tu za Ural. Jak ja i mama ciężko pracowałyśmy, przymierały z głodu i zimna, tego nikt nie widział i nie żałował nas. Nie zostanę tutaj! Pójdę do armii. Zginę jak mój ojciec za Ojczyznę, a tu nie zostanę!]. Wysłuchał, zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głowy. Pan Rakowski wstawił się za mną i wreszcie mnie przyjął.

Nie mogłam się uspokoić z płaczu. Jak to, on śmie nas jeszcze tu zatrzymywać, aby dalej znęcać się nad nami. Niedoczekanie jego! Dosyć już niewoli i pracy na nich. Choćbyśmy mieli być nieraz głodni, pójdziemy, sama myśl, że zbliżamy się do ukochanej naszej ziemi będzie nas żywić. Tego, co oni, szubrawcy, nam

wyrządzili, nie zapomnę im do śmierci, a jedynym mym celem jest odwdzięczyć się im choć częściowo.

Następnego dnia po południu przyjechała *barża*. Już parę dni padał śnieg i był mróz. Była obawa, że może zamarznąć rzeka i przestaną kursować łódki. Przed wieczorem wszyscy już byli załadowani i w nocy mieliśmy odjechać. Rzeczy zostały na pokładzie, my zaś wewnątrz barki. Urządzenie było tu podobne jak w wagonach: piętrowe ławki, na których siedzieliśmy i spaliśmy. Była nawet kuchnia, ale nie było co gotować. Tą *barżą* jechaliśmy po rzece Wiszerze, aż do Mołotowa.

Tu przesiedliśmy się na duży okręt *„Pamiat' Okułowa"*. Okręt ten był naprawdę ładny. I-sza i II-ga klasa o bardzo wygodnym i ładnym urządzeniu. My jechaliśmy klasą III-ą. Tu jechała masa ludzi, bo przeszło 4 tysiące. Ciasno było niemożliwie. Ludzie siedzieli prawie jeden na drugim, a nawet pod spodem było pełno ludzi. Okręt na przystaniach zatrzymywał się, a wówczas ludzie wybiegali na brzeg, ażeby cokolwiek kupić do zjedzenia. Trudno było cokolwiek dostać, a i to bardzo drogo. Na przystani w Czystopolu dowiedzieliśmy się, że niedaleko w *kooperatywie* sprzedają chleb bez kartek, co należało do rzadkości i 1 kg kosztuje 75 kopiejek. Okręt miał stać godzinę czasu, więc ja z Jadzią pobiegłyśmy za chlebem.



Stoimy w kolejce. Wtem, nie wierzę swym oczom. Edek Kaczmarczyk! W tym roku na wiosnę uciekł z *posiołka* i pisał do swego stryja listy z Polski. – „Skądżeś się tu wziął?" – Na pytania odpowiadał nam po rusku. Przechodził granicę niemiecką i wtedy go złapali. Gdy dowiedzieli się, że uciekł z Uralu, posadzili go w więzieniu w Moskwie. Składał podania, aż wreszcie wypuścili go, lecz nie na wolność. Chodził na kurs maszynistów i był w tzw. *prijucie* [przytułku]. W wolnych chwilach woził chleb do tej właśnie *kooperatywy*. Znajomi namawiali go, aby jechał z nami, że wstąpi do junaków. On tylko kiwał głową, a nie zgodził się. Przez cały czas nie przemówił do nas jednego słowa po polsku.

Już kupiłyśmy 2 bochenki chleba i dał się słyszeć gwizd okrętu. Obie z Jadzią szybko pobiegłyśmy, bo inaczej mogłybyśmy tu zostać i nigdy nie dogonić „naszych". Akurat dobiegłyśmy, okręt odchodził za 5 minut. Uradowane, że zdobyłyśmy chleba, opowiadałyśmy mamusi o tym, cośmy widziały. Zjedliśmy wszyscy po kawałeczku chleba i byliśmy syci. Jedziemy już parę dni. W Kamskim Ujściu przesiądziemy się na drugi okręt i pojedziemy po Wołdze.

Wysiadaliśmy w nocy. Straszne zamieszanie, z którego korzystali złodzieje. Nam skradli worek z ostatnią bielizną i naczyniem oraz walizkę z moimi rzeczami. Były tam książki, zeszyty, różne pamiątki po Tatusiu, jak: dyplomy, krzyże, ordery oraz album z fotografiami. Przeszło 400 zdjęć. To dla mnie było najcenniejsze. Ukradkiem zabrałam to z domu, cały czas chroniłam jak świętości i teraz miałam stracić. Nie! Zaczęłam wszędzie przewracać, szukać, krzyczeć, ale nic nie pomogło. Ten, kto wziął, nie czekał. Myślał może, że tam nie wiadomo co jest. Omylił się, bo jemu to żadnej korzyści nie przyniesie, a dla mnie to miało znaczenie i wartość bezcenną. Stanęłam pod ścianą

i porwał mnie niepohamowany szloch. Jak to, mam to stracić? Nie mogłam się z tym pogodzić.

Tymczasem już wszyscy wysiedli i okręt miał odpływać. Weszła mamusia, chwyciła mnie za rękę. – „Co ty tu jeszcze siedzisz, nie słyszałaś, że ten okręt zaraz odpływa?” – „Mamusiu” – powiedziałam – „ja to muszę znaleźć”. – „Coś ty, niemądra. Trudno, zginęło, nic na to nie poradzisz! No, chodź prędzej, tam zostały dzieci same. Jeszcze resztę rzeczy kto ściągnie.” Nie chcąc robić przykrości mamusi, poszłam, zalewając się łzami. Wolałabym zostać w tym co mam na sobie, byle by mi to zwrócili (album). Chyba nigdy tego nie odżałuję, a szczególnie zdjęć.



Okrętu, którym mieliśmy jechać aż do Saratowa, jeszcze nie było. Trzeba było czekać. Mamusia z dziećmi poszła do poczekalni, a ja zostałam przy reszcie bagażu. Siedząc na worku, cały czas płakałam i nie mogłam się od łez powstrzymać. Pomimo że był silny mróz, zimna nie odczuwałam. Nie podaruję tego nigdy i choć w jaki sposób muszę się tym szubrawcom bolszewikom odwdzięczyć. Dopiero trzeciego dnia podpłynął *„Klim Woroszyłow”*, którym mieliśmy jechać. Zaczęliśmy się ładować na okręt. W okrutnym tłoku trudno się było przepchać. Mamusia

sama nosiła rzeczy na okręt i chciała zająć miejsce dla nas. Kiedy wyszła z powrotem, wypadła jej na ziemię szpulka nici, które były w spodniej kieszeni. Spostrzegłszy to mamusia natychmiast chwyciła za kieszeń. W tejże chwili zbladła i z piersi jej wyrwał się głos rozpaczy. – „Jezu, cóż ja teraz pocznę?" Ostatnie 100 rubli i tatusiową obrączkę skradziono mamusi z kieszeni i nie wiedziała, w jaki sposób. Widocznie zrobił to specjalista.

Zostaliśmy bez niczego. Jeden dywan i trochę starych już rzeczy oraz obuwia był całym naszym majątkiem. Jechaliśmy bez kawałka chleba już drugi dzień. Mamusia zachorowała. Młodsze rodzeństwo kwili z głodu. Nie mogę na nich patrzeć. Serce kraje mi się z bólu i dławią łzy. Już drugi dzień żywimy się tylko *kipiatkom* [wrzątkiem]. Nie chciałam, aby mamusia zobaczyła łzy w mych oczach, więc odeszłam nieco i postanowiłam choćby poprosić dla nich o odrobinę chleba. Udałam się na piętro. Jechali tu ludzie bogaci, Rosjanie, grało radio, dzieci się bawiły o niczym nie myśląc. Na ten widok ogarnął mnie okrutny żal. Myślą przebiegałam szczęśliwe dni w Ojczyźnie i obecną niedolę. Zauważyłam Rosjankę, wyrzucającą do śmietnika skórki z chleba. Podeszłam do niej i poprosiłam o te skórki. Powiedziałam, że tydzień nic nie jedliśmy, a ona na tę prośbę żebraczą odpowiedziała przekleństwem: *„Podochni, polskaja sobaka!* " [zdechnij, polski psie] – i wyrzuciła resztki chleba za burtę, żebym ich nie wybrała ze śmietnika. Usiadłam na schodach i łkanie zaczęło mną wstrząsać. Nie mogłam się zdobyć, ażeby wyciągnąć rękę po kawałek chleba. Zapomniałam, gdzie się znajduję i wybuchnęłam prawie głośnym płaczem.

Wtem jakaś Rosjanka, o dobrych, łagodnych oczach i poczciwej twarzy wzięła mnie za ramię i zaczęła pytać, co mi jest. Dopiero po chwili zdobyłam się na odpowiedź. Opowiedziałam jej o wszystkim. Wzięła mnie za rękę i podprowadziła do swego miejsca. Poczęła mnie uspokajać. Wyjęła bochenek chleba czar-

nego, 2 bułki, kilka kawałków cukru i troszkę margaryny, dała to wszystko dla mnie i kazała zanieść mamusi i dzieciom. Brakowało mi słów podzięki. Niech Pan Bóg wynagrodzi jej dobroć. – „*Spasi Boh! Spasi Boh!*" – dziękowałam. Szybko pobiegłam do mamusi i rodzeństwa. Osłodziłam trochę herbatę i dałam im chleb, aby się trochę pożywili. Resztę schowałam na później. Sama nie mogłam nic przełknąć. Niech zostanie dla nich. Zapewniałam mamusię, że już jadłam.

Trzeciego dnia takiej jazdy dopłynęliśmy do Kujbyszewa. Tu kazano nam wysiąść. – „Tu jest polska placówka i polscy żołnierze" – powiedziano nam. Siły opuszczały mnie zupełnie, kręciło mi się w głowie i z trudem chodziłam. Te słowa dodawały mi życia i sił. Zobaczyć polskiego żołnierza – było moim marzeniem. Pomogłam mamusi przenieść rzeczy z okrętu do poczekalni. Było już ciemno. Tu mieliśmy przenocować, a nazajutrz udać się do szkoły nr 42, gdzie zbierali się ludzie przyjeżdżający z północy i stąd transportami wszystkich wysyłano do krajów południowych.

Rano już mało kto był na przystani. Mamusia z dziećmi, w dodatku chora, nie mogła iść. Poszłam ja z Dzidzią. Ledwieśmy doszły. Od razu poszłam się zarejestrować. Boże! Polski żołnierz. Co za szczęście. Polsko, jesteśmy coraz bliżej Ciebie – łkało moje serce. Stoczyły się łzy, lecz te łzy radości.

Przyszedł pan kapitan Lewicki i Żeromski, obaj dobrzy jak ojcowie. Opowiedziałam im wszystko szczerze i z ufnością. Pogłaskał mnie po głowie, pocałował w czoło i dobrotliwie powiedział: – „Nie martw się, dziecinko, już tak cierpieć nie będziecie. Pomoc w pierwszym rzędzie wam się należy." Natychmiast posłał dorożkę po mamusię. Podziękowałam serdecznie, odeszłam na bok, stanęłam pod ścianą i ukrywszy twarz w dłoniach, modliłam się serdecznie, dziękując słodkiemu Jezusowi i Jego Mateńce za tę wielką łaskę i Ich miłosierdzie. Ocknęłam

się, gdy przyjechała mamusia. Zajęliśmy miejsce w jednej z sal razem z innymi. Umyliśmy się i przynieśli obiad. Spragnieni pożywienia, jedliśmy szybko. Teraz zdawało mi się, że już lepiej być nie może. Za dwa dni mieliśmy wyjechać na południe.

Ciemno jeszcze było, gdy kazano się nam przyszykować do drogi. Każdy co miał, brał na plecy i ruszyliśmy. Wschodziło słońce, jak przyszliśmy na stację. Do południa zeszło, nim załadowano cały transport. O godzinie 4-tej mieliśmy odjechać. Zaopatrzono nas na drogę częściowo na miejscu, resztę otrzymał komendant transportu, który miał zabezpieczyć ludzi w żywność w czasie podróży.

Tymczasem pan poseł Jugosławski przyszedł do naszego wagonu. Rozmawiał ze starszymi, a przeważnie z dziećmi. Opowiadaliśmy wszystko. Gdy mnie zapytał, gdzie jest Tatuś, nagle zdławiło mnie w gardle i nie mogłam wydobyć głosu. Inni odpowiedzieli za mnie. Wszystko nieszczęście waliło się na nas. Mamusia bardzo zachorowała i Rysio. Nowe zmartwienie spadło na moją głowę. – „Nie martw się, moje dziecko, wszystko będzie w porządku." Wyjął 150 rubli, które dał mnie i poszedł. Za chwilę wrócił znowu i sam przyniósł paczkę słodyczy dla dzieci, białego chleba, cukru i świeżego mleka. Kazał pomagać mamusi i pilnować rodzeństwa – po czym odszedł. Rodzeństwo już wygłodniało i zaczęło płakać, jak zwykle dzieci. Niedaleko była stołówka i dużo ludzi już przyniosło tanią lecz doskonałą zupę z chlebem. Inni dopiero poszli. Pobiegłam i ja. Za trzy godziny na pewno zdążę.

Przebiegłam tunel i jak strzała wpadłam do stołówki. Za stołem siedziało pełno żołnierzy ruskich, a pod ścianami aż na korytarz ciągnęła się kolejka. Zajęłam i ja kolejkę, ale próbowałam przepchać się z przodu. Nic nie pomogło, a zupy już brakło i za chwilę będzie gotowa inna. Czasu było jeszcze dość, więc czekałam. W budynku naprzeciwko była apteka. Kupiłam ban-

daż, jodynę, rycynowy olejek i walerianę, co w podróży zawsze może się przydać. Zupę już zaczęli wydawać. Dostałam wreszcie i ja. Na zegarze wybiło wpół do trzeciej. „Zdążę, jeszcze półtorej godziny." Szybko pobiegłyśmy. (Zapomniałam dodać, że nie byłam sama. Byłą ze mną Dzidzia i Alinka Tarnowska.) Przychodzimy na tor, na którym stał nasz *eszelon*. Pociągu nie ma. Byłam pewna, że szybował i na pewno stoi na innym torze. Dzidzi i Alince kazałam tu zaczekać, a sama pobiegłam szukać naszych wagonów. Obiegłam wszystkie tory i wszystkie wagony, nawet na stacji towarowej, lecz daremne były wszelkie przypuszczenia. Nie wiedząc, co mam robić, wstąpiłam do pobliskiej dyżurki, aby się dowiedzieć, gdzie stoi nasz *eszelon*. I oto co się dowiaduję: że o godzinie wpół do trzeciej odjechał.

Zostałyśmy same. Ani na chwilę nie straciłam głowy. Polecając się opiece Bożej, wróciłam do Dzidzi i Alinki i razem poszłyśmy na stację. Uspokoiłam je, aby nie płakały. Dziwna odwaga wstąpiła we mnie. Już się ściemniało i zabłysła elektryczność. Byłyśmy niedaleko stacji. Wtem, co to? Ktoś mnie woła. Rzęczywiście, byli to również spóźnieni panowie Piksa i Malec. Trochę ucieszyłyśmy się, bo zawsze ze straszymi raźniej. Alinkę i Dzidzię bolały nogi i nie mogły nadążyć za nami. Prosiłam, aby zwolnili kroku, lecz ani słuchać nie chcieli. „Niech lecą – dam sobie radę sama" – i zostałam. Przyszłyśmy we trzy na stację i od razu udałam się do dyrektora. Poradził mi, żebyśmy wsiadły do transportu, który odjedzie o godzinie ósmej do Taszkientu. Tym transportem pojadą sami Rosjanie. Obawiałam się puszczać w drogę wśród zupełnie obcych ludzi.

Wyszłam, na podwórzu spotkałam znów panów Malca i Piksę. – „Co będziemy robić, panno Elżuniu?" – zapytał jeden z nich. W tej chwili rosłam. Cóż to, oni, starsi mężczyźni, pytają mnie, co robić? Trzeba przyznać, że się tak wyrażę, byli to fajtłapy jakich mało. Opowiedziałam im o mojej rozmowie z dyrektorem. – „Do-

skonale, jedziemy!" – obaj jednocześnie zadecydowali. – „Dobrze, proszę panów – odpowiedziałam – ale ja nie pojadę. Pójdę do pana kapitana po radę, co mam zrobić." – „Może panienka mo rację i my też zacekojmy." I razem z Dzidzią i Alinką zostali na stacji.

Na ulicach było ciemno i tylko co pewien odstęp latarnie rozsiewały światło. Biegłam prawie całą drogę. Od czasu do czasu mijała mnie taksówka lub jakiś spóźniony motocyklista. Trzy kilometry przebiegłam w mig. Nareszcie jestem w szkole. Oj, żeby choć zastać pana kapitana. Wchodzę na schody i tu spotkałam porucznika, który nas rejestrował. – „Co, jeszcze transport nie odszedł?" – ze zdziwieniem zapytał. – „Nie, panie poruczniku, transport już dawno odszedł, a my zostałyśmy" – i teraz opowiedziałam całą historię dokładnie. Roześmiał się z tego serdecznie, kazał się nie martwić oraz przyprowadzić pozostałych. Co tchu pobiegłam, uradowana. Wiatr szumiał mi w uszach. Nareszcie dobiegłam i razem z Dzidzią i Alinką wróciłyśmy do szkoły nr 42. Mężczyźni poszli z nami.

Przyszliśmy na miejsce. Czekała nas już kolacja. Miałyśmy tu znajomą, panią Balawajdrową, która nam przygotowała posłanie. Zaraz po kolacji położyłyśmy się spać. Nazajutrz rano po śniadaniu przyszedł pan porucznik Żeromski i Lewicki. Przynieśli nam pełno słodyczy i zapewniali, że na pewno spotkamy się z mamusią. Całym sercem i duszą byłam im wdzięczna za ich dobroć.

Około południa przyjechał samolotem ksiądz z Londynu. Przed wieczorem przyszedł do nas razem z panem kpt. Żeromskim, który natychmiast przedstawił mu naszą trójkę. Ksiądz był niskiego wzrostu, dość gruby, przy tym bardzo miły, dobry i wesoły. Trochę nam dokuczał i nazwał mnie mateczką. Przyjechało z nim również dwóch mężczyzn, również bardzo przystojnych. Jeden z nich Anglik. Tego wieczoru długo z nami rozmawiali, a na odchodnem dostałam od Anglika na drogę 100 rubli.

Następnego dnia o godzinie 10-ej rano odprawił ksiądz nabożeństwo. Boże! Dałeś nam doczekać tego wielkiego szczęścia, słuchania tej Najświętszej Ofiary, Mszy świętej. Sala była wypełniona ludźmi po brzegi. Przy jednej ścianie ustawiono stół, który miał zastępować ołtarz. Na ścianie wisiał śliczny obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej. Możliwie najpiękniej ubrano ołtarz. Pierwszą pieśnią śpiewaną w czasie Mszy św. była „Serdeczna Matko". Z początku potężna, później zmieniła się w szloch. Nikt nie mógł się powstrzymać. Płakali wszyscy, nawet i Żydzi. Ludzie na kolanach składali Zbawicielowi, który po dwóch latach znów zstąpił wśród nas, na ołtarz – to, co przenieśli w przeciągu tego czasu. Dziękowali za łaski i dobrodziejstwa, jakich tak wiele otrzymywali w najcięższych chwilach. W tej chwili zapomniałam, gdzie się znajduję. Zdawało mi się, że klęczę u stóp swego Zbawiciela, Pana i Opiekuna, a Mateńka Niebieska płaszczem swej macierzyńskiej dobroci i miłości osłania mnie. Rozmawiałam w tej chwili z Panem Jezusem. Opowiadałam wszystko swemu Tatusiowi w niebie. Zwierzałam się ze wszystkiego, co przecierpiałam i prosiłam o dalszą opiekę. Dziękowałam za łaski i dobrodziejstwa, których tyle otrzymałam. Czułam tylko, jak gorące łzy spływały mi po twarzy. Panie, daj mi jeszcze spotkać się z mamusią. Zatopiłam się w modlitwie, którą przerwało mi kazanie księdza. Przysłał go Ojciec Święty z błogosławieństwem dla Polaków. Kazanie do głębi serca wszystkich wzruszyło. Ksiądz również miał łzy w oczach, drżał mu głos. Przestał mówić, błogosławiąc wszystkich zebranych. Wszyscy łkając kończyli swoje modlitwy. Wszyscy byli podnieceni i całkowicie zatopieni w słowach kapłana. Tej pierwszej po trzech latach Mszy świętej nie zapomnę nigdy i z całej duszy i serca dziękuję Panu Bogu, że dozwolił nam tego szczęścia doczekać.

Nazajutrz wyjechaliśmy z Kujbyszewa. Transport składał się przeważnie z łagierników oraz kilku rodzin. Komendantem

transportu był por. Sokołowski. Jemu to powierzył nas pan kapitan Żeromski. On miał nas oddać w ręce mamusi. Zaopatrzone na parę dni w chleb i trochę pieniędzy, wieczorem ruszyłyśmy. Trzeciego dnia, nie mając nic do jedzenia oprócz chleba, ostatni kawałek chleba zjadłyśmy na śniadanie.

Jechaliśmy pustym stepem. Piach, wydmy piaszczyste, gdzieniegdzie wśród wysokiej trawy sterczały suche kolczaste gałęzie. Wzdłuż tej drogi z rzadka spotykaliśmy maleńkie wioski, a przy torach domki kolejowe lub przystanki. Domy coraz to inne, aż wreszcie wjeżdżamy do miasta, które wygląda jak ruina, takie przynajmniej zrobiło na nas wrażenie. Małe gliniane domki o płaskich dachach zaledwie można było odróżnić od ziemi. Gdzieniegdzie sterczały karłowate krzaczki. Tu i ówdzie wielbłądy skubały zeschłą trawę. Kobiety w spodniach budziły w nas zainteresowanie. Zdawało nam się, że są to zupełnie dzicy ludzie. Chcieliśmy się choć cokolwiek dowiedzieć o ich życiu, lecz nie można się było z nimi porozumieć w żaden sposób. Z zaciekawieniem przyglądaliśmy się temu, co spotykaliśmy po drodze.

Późno wieczorem przyjechaliśmy do dość dużego miasta, Orysu i mieliśmy tu stać do godziny ósmej. Głód dokuczał nam nieznośnie. Nad ranem dowiedzieliśmy się, że na stacji, niedaleko stąd, jest stołówka i bardzo tania zupa z chlebem. Kilku mężczyzn z naszego wagonu poszło. Ja miałam jeszcze kilka kopiejek, więc poszłam też. Po kilku minutach drogi przyszliśmy do dość dużego budynku z elektrycznym oświetleniem. Kolejka była już spora. Mężczyźni, silniejsi, przepchali się, kupili wcześniej i poszli. Ja nie miałam na tyle siły, przepuścić też nikt nie chciał, bo każdy był głodny, wobec tego musiałam czekać kolejki. Nareszcie doszło i do mnie. Kupiłam 3 porcje zupy z chlebem i kasjerka wydawała mi resztę, gdy wtem rozległ się przeciągły gwizd lokomotywy. Natychmiast wybiegłam. Pociąg już jechał. Wagon, w którym jecha-

łam, już minął. Do następnego udało mi się wstawić rondel z zupą, chleb pogubiłam. Sama chciałam wskoczyć na *tormoz* [hamulec], już stałam na stopniu i trzymałam się poręczy, wtem kilku Żydów, również spóźnionych, wskoczyło na schodki i zepchnęli mnie, sami za to pojechali. Upadłam na żwir, całe szczęście, że nie pod pociąg. W kolana i łokcie nawbijało mi się kamieni. Całe nogi i ręce miałam pokrwawione. Zauważyło to dwóch kolejarzy. Pozbierali chleb, który pogubiłam i podeszli do mnie. Nieco w tyle stał pociąg pospieszny. Kazali mi wsiąść i tym pociągiem dogonić nasz transport, bo idzie w tym samym kierunku.

Natychmiast wstałam i uczyniłam, co mi radzili. Ale tu nie chcą przyjąć. Konduktor nie pozwala. Cóż mi teraz pozostało robić? Jeżeli tym pociągiem nie pojadę, to będę musiała tu zostać, może na zawsze. Niech będzie, co chce, pojadę. Wskoczyłam na schodki. Pociąg już ruszył i jakiś kolejarz, Uzbek czy też jakiś inny czarny diabeł, schwycił mnie za płaszcz i ściągnął, a sam odszedł. Tym razem nie straciłam przytomności i wskoczyłam na następne schodki. Udało mi się. Wyjechaliśmy za miasto czy też wioskę. Zaczęło wschodzić słońce. Mróz szczypał zawzięcie i ręce grabiały mi zupełnie. Bałam się, żeby nie upaść, więc przywiązałam się szalikiem do poręczy. Kilku chłopców w gimnazjalnych mundurach, którzy też spóźnili się do tego transportu co i ja, stało w dyżurce. Widocznie zauważyli mnie, bo jeden z nich wyszedł i zaczął mnie namawiać, żebym przeszła do dyżurki. Z początku bałam się, żeby nie upaść. W końcu zgodziłam się. Podał mi rękę i pomału, po zderzakach, przeszedłszy przez mostek weszłam do dyżurki. Tu poczułam, że bolą mnie nieznośnie ręce i nogi. Zimno trzęsło mnie jak febra. Na każdym przystanku wypędzano nas, ale my nieproszeni wsuwaliśmy się z powrotem. Na trzecim przystanku chcieli nas aresztować. Wyskoczyliśmy z wagonu i na drugim torze niespodziewanie zobaczyliśmy, że stoi nasz transport. Ludzie powy-

chodzili z wagonów i myli się. Uradowana pobiegłam do swego wagonu, dziękując chłopcom za pomoc. Dzidzia i Alinka siedziały na narach zapłakane. Gdy mnie zobaczyły, aż krzyknęły z radości. – „Myślałyśmy, że już nas nie dogonisz."

Teraz poszłam poszukać rondla z zupą. Znalazłam go w sąsiednim wagonie, ale zupy już nie było. Chwała Bogu, że choć rondel jest. Na najbliższym przystanku baby sprzedawały zupę, której kupiłam za ostatnie pieniądze. Pożywiłyśmy się trochę i dalej jechaliśmy tak jak przedtem. Ja już pieniędzy nie miałam, a pana porucznika najmniej bolała głowa o to, że już znów trzeci dzień jechaliśmy o głodzie. Około południa zatrzymaliśmy się na większej stacji. Obok stał transport z wojskiem sowieckim, jadącym na front. Nasi ludzie powychodzili z wagonów, zaczęli prosić o kawałek chleba. Rosjanie obdarzali ich nie tylko chlebem, lecz także sucharami, cukrem, suszonymi rybami i czym tylko mogli.

Wyszłam i ja z wagonu, stanęłam na peronie i teraz poczęła się toczyć w duszy mojej walka. Nie mogłam się zdobyć na to, żeby wyciągnąć rękę po ten upragniony kawałek chleba. Żebrak u nas nie potrzebował żebrać, bo mu się zaniosło i nigdy nie miał takiego dnia, bez kawałka chleba. Ambicja nie pozwalała mi. Nie, wolę nie jeść, choćbym miała umrzeć, a żebrać nie pójdę. Jednocześnie widziałam wciąż przed sobą płaczące z głodu Dzidzię i Alinkę. Biedactwa nie miały już siły wstać. Pójdę... nie; tak wahałam się chwilę. Już dłużej nie mogłam, nie mogłam powstrzymać się z żalu. Wybuchnęłam głośnym płaczem i zapomniałam, że może na mnie ktoś patrzy. Wtem podeszła do mnie Rosjanka w mundurze sanitariuszki i dała mi spory kawałek chleba i doskonałego śledzia. Nie śmiałam przyjąć, ale dała mi i kazała iść do wagonu, bo zaraz mamy odjechać. Poszłam. W wagonie było tylko parę osób. Chleb i śledzia oddałam Dzidzi i Alince, kazałam im zjeść, a sama wyszłam, usiadłam na

tormozie i siedziałam prawie do wieczora. Cały czas płakałam i nie mogłam zapomnieć tego, co mnie spotkało. Jednak lepiej poprosić, niż ukraść – zaczęłam sobie tłumaczyć. I od tego dnia codziennie na większych stacjach schodziłam i udawałam się zawsze w kierunku lokomotywy, żeby nie zostać. Zawsze coś przyniosłam, ale dla siebie brałam znikomą część z tego.

W tydzień po tym minęliśmy Samarkandę i 150 km dalej stanęliśmy na małej stacyjce. Transport nasz odstawiono na boczny tor i policja kazała nam wysiadać. Wszyscy udali się do komendanta transportu – co robić? Przeznaczonym dla nas miastem był Kagan, do którego było przeszło 200 km. Pan porucznik, jak zwykle – niewiele obchodziły go sprawy ogólne. Sam z koleżkami przetrwonił 2500 rubli, które otrzymał na chleb i zupę dla ludzi i teraz był zupełnie spokojny. Gdy go ludzie zapytywali, co robić, odpowiadał – „Róbcie, co chcecie". W dodatku wielu ludziom poginęły u niego paszporty i każdy odchodził z niczym, bez żadnej porady. Na końcu podeszłam i ja.

– „Co my mamy robić, panie poruczniku? Wierzyłam słowom pana kapitana, tym bardziej, że pan przyrzekł panu kapitanowi doprowadzić nas do mamusi." – „Cóż ja wam poradzę? Jak chcecie, to jedźcie ze mną pierwszym lepszym pociągiem, na gapę." Taką dostałam odpowiedź. – „W takim razie dziękuję za troskliwą opiekę, za to, że pan doprowadził nas na miejsce, że zmuszona byłam u obcych prosić kawałka chleba, a pan pieniądze stracił i gdy prosiłam pana o dokładne dowiedzenie się na polskiej placówce, gdzie pojechał poprzedni transport, pan wciąż zbywał mnie słowami – dobrze, dobrze. Przy pomocy Bożej dam sobie sama radę." I odeszłam.

Wśród wszystkich ludzi panowało oburzenie, a szczególnie kobiety przeklinały go na czym świat stoi. Po naradzie udały się wszystkie do rosyjskiego komendanta posterunku. Opowiedziały, co się stało i natychmiast zatelefonowały do polskiego na-

czelnika placówki w Samarkandzie. Odpowiedź brzmiała: „Za godzinę przyjdzie z przedostatniej stacji pociąg osobowy z pustymi wagonami. Proszę się załadować i jechać". Nadszedł pociąg. Natychmiast załadowaliśmy się. Jedziemy.

Następnego dnia po południu przyjechaliśmy do Kata-Kurganu i dosyć długo staliśmy przed stacją. Później pociąg zaczął szybować i mieliśmy odjeżdżać. Wyszłam do przedsionka. Otworzyłam drzwi i mimo woli rozglądałam się po ludziach. Nagle – „Edziu! Co ty tu robisz?" – krzyknęłam i serce zaczęło mi bić coraz szybciej. Oto znajomy chłopiec chodził po peronie i przyglądał się przejeżdżającym. Gdy zobaczył mnie, również nie wiedział, czy ma ze mną rozmawiać, czy biec do mej mamusi. – „Niusia! Twoja mamusia jest tu i my wszyscy. Ach, jak się strasznie martwi, chodźcie prędzej!" O mało mi dusza nie wyskoczyła z radości. Pobiegłam do przedziału, zbudziłam śpiącą Dzidzię i Alinkę, pożegnałyśmy się z p. Jóźwiakiem i Jasią, wyszłyśmy i biegiem do mamusi.

Rzuciłyśmy się w jej objęcia. Zaraz zaczęłyśmy opowiadać o tym, co nas spotkało od chwili, gdy zostałyśmy w Kujbyszewie. Razem z mamusią przyszłyśmy, że się tak wyrażę, do domu, bo nie był to dom. Na stacji pod gołym niebem mieszkaliśmy dwa tygodnie. Deszcz, kurz, upał i wiatry dawały się nam porządnie we znaki. Co się jeszcze dało, sprzedawaliśmy, aby zdobyć kawałek chleba. Często przez całą noc stałam w kolejce za kilogramem chleba, który bardzo rzadko udało mi się dostać.

Dni upływały wolno jak nigdy. Aż tu pewnego dnia przyszedł komendant i powiedział, że po południu wszystkich porozsyłają po kołchozach. Każdy myślał teraz, byle by dostać się do dobrego kołchozu. Przed południem wszyscy po kolei byli w łaźni. Wprawdzie nie zasługiwało to nawet na nazwę „przedsionka łaźni". W podziemiu mały kojec bez okien robił wrażenie najgorszej piwnicy i nawet zaczęłyśmy między sobą szeptać, że może chcą nas tu zamknąć.

Różne myśli krążyły po zmęczonej i brudnej głowie. Zaczęłyśmy szukać wody i jakiegoś naczynia. Znalazłyśmy dwa drewniane koryta, w dodatku dziurawe. O wodzie to już lepiej nie mówić. Na dnie beczki było jej trochę, a w dodatku bardzo była zimna i brudna. Niektóre osoby obmyły twarz, ręce i nogi i tak powychodziłyśmy, bojąc się, aby się nie przeziębić, o co było bardzo łatwo. Minął obiad i po obiedzie. Wszyscy czekali już z niecierpliwością, kiedy wreszcie będziemy mieć dach nad głową.

Słońce już zachodziło, ale z wyjazdem jakoś się nie kleiło. Furmanki jeszcze nie przyjechały i jeszcze jedną noc będziemy musieli przenocować pod gołym niebem. Głodni byliśmy wszyscy, więc trzeba było pomyśleć o jakiejkolwiek kolacji. Mieliśmy jeszcze trochę mąki, wzięłam ją i razem z Janką Kułakówną, Marysią Stawarzówną i Walką K. poszłyśmy ugotować trochę polewki. Już kilka osób paliło ogniska i też coś gotowali. Zrobiło się zupełnie ciemno i tylko gdzieniegdzie błyskały czerwone płomienie ognisk wzdłuż przepływającej rzeczułki. Niektóre dogasały i tylko powiew wiatru rozdmuchiwał żarzące się jeszcze węgielki. Niektóre żywo buchały płomieniami i znów wkrótce gasły. Obok był park czy coś w tym rodzaju. Ponury, ze starymi drzewami wciąż szumiącymi. Szum ten wraz ze szmerem przepływającej rzeczki wydawał się łkaniem żałosnym. Może naprawdę nuciły one kołysanki tym, którzy leżeli po przeciwnej stronie rzeki. Był tam olbrzymi cmentarz uzbecki, z dala widoczny, ponieważ teren był wzniesiony dość wysoko. Szare grobowce nadawały jakiejś powagi i jednocześnie stwarzały bardzo smutny i ponury nastrój. Szum drzew płynął bez ustanku i tylko od czasu do czasu przeszywał tę ciszę przeraźliwy świst jakiegoś zwierzęcia. Wypłynął powoli na niebo księżyc. Całą ziemię osrebrzył, drzewa posypał jakby srebrnym szronem, a rzeczka błyszczała różnymi odcieniami barw, jak gdyby była ułożona z drobnych tafli szkła, które wciąż przebiegały i ginęły

w dali. Z przyjemnością przysłuchiwałyśmy się tym szmerom, wchłaniając nieco odświeżone powietrze. Aż lżej było na duszy i ciele po całodziennym upalnym dniu.

Wróciłyśmy z już ugotowaną kolacją. Trochę posiliwszy się, zasnęłam snem twardym i beztroskim, bo tylko we śnie zapomina się o wszystkim. Noc minęła szybko i następnego dnia raniutko przyjechały po nas *arby* [furki]. Pojechaliśmy do przeznaczonego dla nas kołchozu. Uzbekom przyglądaliśmy się z ciekawością. Interesowały nas ich zwyczaje, ubiór i w ogóle zachowanie się.

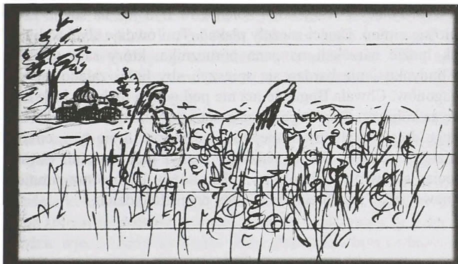
UZBEKISTAN

Do kołchozu pod nazwą „*Uzganysz*" przyjechało nas tylko trzy rodziny (państwo Kułakowie z córkami – Janką i Halinką, państwo Stawarzowie z córką Marysią oraz mamusia i nas sześcioro). Pierwszą noc nocowaliśmy wszyscy razem w *czajhanie* [herbaciarni]. Nazajutrz rano każda rodzina otrzymała *kibitkę* [lepiankę]. My dostaliśmy bardzo miły biały o dużych oknach pokoik, w którym przedtem mieścił się kantor.

Uzbecy odnosili się do nas bardzo przychylnie i chcieli nam we wszystkim pomagać. Już następnego dnia poszłam do pracy. Z początku wydało mi się to zabawką. Kilkanaście osób idzie rzędem, każdy swoim zagonem, zrywając puszyste kulki waty [bawełny] i wrzucając je do dużych worków przytroczonych do pasa. Uzbeczki chciały ze mną rozmawiać i coś pokazywały na migi, wydając przy tym różne dźwięki. Niewiele z tego rozumiałam, ale starałam się im odpowiadać. Po paru dniach oswoiłam się z nimi i zaczęłam się uczyć po uzbecku. Wkrótce mogłam zupełnie dobrze z nimi rozmawiać, a nawet zbieranie waty szło mi zupełnie dobrze. Szłam już razem z nimi w rzędzie, a *predsiedatiel* [przewodniczący] powiedział, że jestem *stachanowką* [przodowniczką pracy] I-szej brygady, bo w tej pracowałam.

Uzbeczki lubiły mnie bardzo i wciąż zapraszały mnie na śniadanie, obiad i kolację. Gdy nie przychodziłam na zaproszenie, przy-

nosiły mi śniadanie czy obiad do domu i jadłam z wszystkimi członkami rodziny. Tu już zupełnie głód od nas odszedł. Ja pracowałam przy zbiorze bawełny, a mamusia z młodszym rodzeństwem wybierały watę z pączków w domu. Pracowałam chętnie, gdyż widziałam, że nie pracuję na darmo. Dostawaliśmy: mąkę, mleko, *dżydę*, *kiszmisz* [suszone winogrona], *dzugarę* [słodką kukurydzę] i *sim*. Przynajmniej nie byliśmy głodni. Minął tydzień i drugi, czułam się już zupełnie dobrze, gdyż *predsiedatiel* był bardzo dobrym człowiekiem i doskonale rozumiał nasze położenie. W niedzielę nie pracowaliśmy i nikt nas nie prześladował. Jednym słowem, było nam dobrze.



Nie spodziewaliśmy się tego, co nastąpiło 27 listopada 1941 roku rano. Dopiero wzeszło słońce. Wtem przed dom ktoś zajechał kłusem na koniu i raptownie konia zatrzymał. Skoczyłam do okna i co to? Przed kantorem stoi koń, a milicjant już z niego zsiadł. Nie wiedziałam, co to ma znaczyć. Za chwilę dowiedziałam się o wszystkim. Jedziemy do Polski – taką przywiózł nowinę. Radość nasza nie miała granic. Czyż to możliwe? Nie

mogliśmy w to uwierzyć. Za niecałą godzinę wszyscy byliśmy już na *arbach.* Za chwilę jedziemy.

W tej chwili podszedł do mnie *predsiedatiel* i chce, abym mu oddała kołdrę, którą dostałam jako dobra robotnica na odrobek. Wtedy pokazałam mu spis wykonanej przez nas pracy i powiedziałam, że jeżeli zapłaci mi za robotę, wówczas oddam kołdrę. Widząc, że mu się nie uda, odszedł. Uzbeczki żegnały mnie serdecznie, prosząc bym do nich pisała.

Na *arbach* jechały tylko małe dzieci, my szliśmy z tyłu. Słońce już prawie zachodziło, kiedy przyszliśmy do Kata-Kurganu. Zaczęło się chmurzyć i wieczorem zaczął padać deszcz. Polacy z wszystkich kołchozów byli już na stacji. Zrobiło się zimno. Dzieci zaczęły płakać. Tu i ówdzie słychać było, jak ludzie narzekali na pana porucznika, który sam siedział w budynku i nie bardzo się spieszył, aby ludzi załadować do wagonów. Chwała Bogu, że już nie pod gołym niebem, i nie leje się za kołnierz. Deszcz padał całą noc i cały dzień. Dopiero trzeciego dnia ruszyliśmy z miejsca. Ludzie żywili się tym, co kto miał z kołchozu. Dokąd jedziemy – nikt nie wiedział. Często pociąg stał w pustym polu po kilka godzin. Było coraz zimniej, a nawet spadł już śnieg. Jechaliśmy przeszło tydzień.

TURKIESTAN

Dopiero 8 stycznia 1942 roku przyjechaliśmy do Turkiestanu. – Hm, co też my tu będziemy robić? Ni tu drzewa, ni trawy, mróz niemały – każdy martwił się, co będzie jutro. Wtem krzyk – wysiadać! Natychmiast zaroiło się na torze. Pan porucznik już poprzydzielał, gdzie kto pojedzie. Nikt nie śmie sprzeciwić się rozkazowi i wykonuje go niezależnie od własnej woli. Jedni jadą wołami, inni wielbłądami, a jeszcze inni samochodami. Tym ostatnim pojechaliśmy i my.

Było nas 30 osób. Usadowiliśmy się w ciężarówce. Zimno. Wiatr mroźny sypie śniegiem. Uch! Żeby już prędzej na miejsce, bo już nie czujemy nóg, a i głód zaczął dokuczać. W dali już widać jakieś ruiny i kilka drzew. Dowiadujemy się, że to jest właśnie kołchoz, do którego jedziemy. Samochód mknął, a kołchoz zbliżał się żółwim krokiem. Nareszcie po prawie godzinnej jeździe wjechaliśmy do wioski Stary Ikan, która była podzielona na 4 kołchozy. Po obu stronach szosy szary mur, za którym kryły się *kibitki*. Niektóre są nawet ładne, wybielone, naokoło otoczone sadem. Tu i ówdzie jakiś Uzbek czy Kozak jedzie na ośle lub wielbłądzie. Wciąż jedziemy. Po lewej stronie drogi wznosi się raptownie jakaś góra, na której widać jakieś ruiny. Jeszcze chwilę jechaliśmy i samochód nasz zatrzymał się przed dość dużym budynkiem, za którym rozciągał się młody sad. Ledwie

zeszliśmy z wozu, poczęliśmy biegać tam i z powrotem, starając się w ten sposób rozgrzać zmarznięte członki.

Wprowadzono nas do kantoru. „Piękne", malowane ściany, ale cóż, kiedy nie ma tu ani ławki, ani stołu, co wydaje nam się dziwne. Nie zdążyliśmy usiąść, a już na podwórzu było pełno ludzi, którzy z zainteresowaniem nam się przypatrywali. My również z nie mniejszą ciekawością przyglądaliśmy się tym ludziom. Różnili się od Uzbeków, tak mową jak i ubiorem, a jak się później dowiedziałam, i urządzeniem domu. Mężczyźni przeważnie wzrostu wysokiego, czarni, nosili cienkie wąsy i brody. Na głowach okrągłe czapki zwane *tiubitiejkami*. Długie płaszcze i *chromowe* [z miękkiej skóry] buty stanowiły całość. Młodzi natomiast nosili ubrania europejskie i szczycili się znajomością rosyjskiego. Nigdzie na ulicy nie widziałam kobiet, co mnie zainteresowało.

Przed wieczorem przyszedł *predsiedatiel*. Oznajmił nam, że jesteśmy w kołchozie „*Kalinin*" i przez kilka dni, dopóki nie znajdą dla nas *kibitek*, będziemy mieszkać w *czajhanie*. Zaraz nas tam zaprowadził. Był to nieduży budynek. Od razu przypadł nam do gustu. Po schodach weszliśmy na piętro. Z małego balkonu prowadziły drzwi do niedużego pokoju, przez który wchodziło się do drugiego, trochę większego. Pokoiki te były czyste, w jednym z nich stał piecyk. W tym mieliśmy tymczasowo zamieszkać. Przenieśliśmy zaraz tu swoje tobołki i napaliliśmy w piecyku trawą (bo nie było drzewa). Sekretarz z kasjerem przynieśli nam na kolację jakiejś pszenicznej zupy i pół *lepioszki* [placka]. Po kolacji ułożyliśmy się spać. Ciasno było, ale ciepło. Noc minęła szybko. Następnego dnia jeszcze leżeliśmy, a już przyszła młoda Uzbeczka, z 8-ej klasy. Stanęła pod drzwiami i zaczęła mnie wołać. Wyszłam. Szła do szkoły i wstąpiła do nas. Chciała się ze mną zapoznać, ponieważ umiała trochę po rosyjsku, więc jej się to udało.

Od pierwszego dnia miałyśmy dużo roboty. Szaliki, rękawiczki, pończochy, swetry – gdy się tylko dowiedzieli, że umiemy je robić [na drutach], zrobiła się kolejka. Jeden chciał mieć prędzej od drugiego. Gotowe rękawice ubierali tylko od parady i nie zdejmowali nawet wtedy, gdy siadali do jedzenia. Siedziałyśmy przy tej robocie dzień i noc, bo z tego tylko żyłyśmy.

Wielu młodych Uzbeków uczyło się w Taszkiencie, z czego cały kołchoz był bardzo dumny. Ci zaś popisywali się znajomością języka rosyjskiego, uważając to za zaszczyt. Często przychodzili do nas i opowiadali o życiu tubylców i w ogóle o ich tradycjach i obyczajach. Pan Kułak i pan Stawarz mieli przynajmniej co palić.

Pewnego dnia wieczorem weszła do mieszkania wysoka kobieta, elegancko ubrana. Twarz jej biała, delikatna, niczym nie zdradzała swego pochodzenia. Czarne, krucze włosy splecione w dwa warkocze spadały na ramiona. Zawołała mnie po imieniu, co mnie niemało zdziwiło. Przedstawiła się, powiedziała, że jest ciotką Salidat i nazywa się Zubasz. Jest nauczycielką w 7-ej klasie. Zapytała, która jest moja mamusia. Wskazałam. Podeszła do mamusi i zaczęła rozmawiać. Prosiła, żeby mamusia pozwoliła mi być u niej. Jeżeli nie chcę nocować, to przynajmniej przez dzień. Mamusia nie chciała się zgodzić, ale po długich prośbach i namowach pozwoliła.

Następnego dnia rano Zubasz-tote [ciocia, forma grzecznościowa] przyszła po mnie. Drogą rozmawiałyśmy. Prosiła, abym się u niej nie krępowała i co mi trzeba, wszystko brała. Opowiedziała mi swoje przeżycia. Nie zdążyłam się oglądnąć i już przyszłyśmy na miejsce. Weszłyśmy na dosyć duże podwórko wysadzone drzewami owocowymi. Duży, ładny budynek z dużymi oknami. Weszłyśmy do środka. Z przedpokoju prowadziły drzwi do kilku pokoi. Weszłyśmy do jednego z nich. Pośrodku stał duży stół, obok stała maszyna. Mąż Zubasz-tote, starszy już

człowiek, przywitał mnie. Widziałam na jego twarzy zadowolenie. Z początku czułam się tu trochę nieswojo, ale w przeciągu paru dni znałam już każdą rzecz, każdy kącik w tym domu.

Życie płynęło tu, podobnie jak u innych Uzbeków, monotonne. Dni upływały i prawie zupełnie się nie różniły. Wczesnym rankiem, często przed wschodem słońca, wstawała gospodyni, zaraz potem gospodarz. Oboje krzątali się przy gospodarstwie (krowy, barany, kozy, osły), potem odprawiali modlitwy. Przez ten czas zdążył zagotować się samowar. Zasiadali wszyscy do śniadania. Już *sandał* [niski stolik] otoczony wiankiem głów. Na nim taca z połamanymi przez gospodarza *lepioszkami*. Przed każdym stoi *piałka* [czarka]. Gospodyni po kolei nalewa każdemu herbaty, oczywiście herbata jest niesłodka. Gospodarz głośno odmawia modlitwę, wszyscy „umywają" twarze i zaczynają jeść. Jedzenie również kończy gospodarz modlitwą. (Modlitwy odmawiają przed każdym posiłkiem). Do obiadu każdy ma jakieś zajęcie. Ja w tym czasie robiłam koronki, wstawki czy też coś z wełny. O godz. 2-ej po południu gospodyni zabiera się do gotowania obiadu. Pomagałam jej zawsze przy tym bardzo chętnie. Specjalnie zbudowany uzbecki piec, w ziemi, z małym otworem – „drzwiczki" miał u góry – większy otwór, na który stawiało się kocioł (najważniejsze naczynie). W tym piecu paliło się trawą i nawozem. Kocioł trzeba było obsypać trochę ziemią, żeby się nie dymiło. Nalewało się prawie pełen kocioł wody i wtedy można było rozpalać. Zależnie od tego, co się gotowało, trwało to dłużej lub krócej. Najczęstszym pokarmem tubylców jest *biszparmak* lub *asz*, czy też *baszmałtak*. Po ugotowaniu obiadu zwykle gospodyni piekła *lepioszki*. Rozczynione rano ciasto już wyrosło. Po przemieszaniu trzeba je podzielić na kilka części i z każdej robi się *lepioszkę*. Gotową *lepioszkę* kładzie się na specjalnej poduszce, kropi wodą, po czym nasunąwszy rękawicę, aby się nie sparzyć, przylepia się *lepioszkę* do pieca. Jesz-

cze kilka razy pryska się je w piecu wodą i już są *lepioszki* gotowe. I znów po obiedzie dowolne zajęcia. (Zapomiałam dodać, że jedzą tu palcami i tylko do bardzo rzadkiej zupy używają łyżek). Wieczorem znów *czaj* z *lepioszkami*.

Bawiłam się z małym synkiem Zubasz-tote, który się nazywał Zepir. Przez kilka dni tak się do mnie przywiązał, że chcąc iść do domu, musiałam od niego uciekać po kryjomu. Minął prawie miesiąc. Nauczyłam się wszystko robić tak, jak powinna porządna Uzbeczka, umiałam już nawet rozmawiać. Pewnego dnia, a był to dość zimny dzień, bo mróz trzymał, poszłam z Zubasz-tote (bo tego koniecznie chciała) na tzw. obrzezanie czy coś w tym rodzaju. Było dużo gości. Ciekawie przyglądałam się ich obyczajom, które pomimo wszystko są interesujące.

Nagle zabolała mnie głowa, poczułam się słabo. Powiedziałam swojej gospodyni, że muszę iść do domu i natychmiast wyszłam. Zubasz-tote wyszła za mną. Jakieś mrowie przebiegało mnie pod skórą. Wstrząsały mną dreszcze. Ledwie doszłam do domu. Natychmiast się położyłam, bo tak nagle opuściły mnie siły, że nie mogłam usiedzieć. Zaraz usnęłam. Zbudziłam się dopiero wieczorem, czułam się zupełnie dobrze i nawet zjadłam trochę kolacji, którą przyniosła Zubasz-tote. Byłam pewna, że rano już wstanę. Tymczasem stało się co innego. Rano ledwie się zdołałam podnieść na posłaniu, głowa wydawała mi się taka ciężka, jakby była z ołowiu. Położyłam się. Miałam wrażenie, że to tylko osłabienie. Nazajutrz rano nie mogłam się już bez pomocy podnieść.

Przed południem przyszedł lekarz. Zbadał mnie, zmierzył temperaturę – 39,8°C. – „To nic innego tylko tyfus plamisty" – zawyrokował. Natychmiast do szpitala. Nie zdaję sobie sprawy, ile upłynęło czasu mojej choroby w domu, bo kiedy przyjechała po mnie *arba*, by mnie odwieźć do szpitala, byłam chora nie tylko ja, ale Jadzia, Lala i Halinka Kułakówna. Pamiętam, że na

wóz wynosili mnie na rękach Pejzeła i Suchaj. Drogę pamiętam doskonale. Pomimo, że jechaliśmy bardzo wolno, mnie się zdawało, że jedziemy z kimś na wyścigi. Tak strasznie mnie trzęsło. Myślałam, że już nie wytrzymam, choć cały czas leżałam u mamusi na ręku. Już prawie nie mogłam oddychać, tak mnie bolało w boku. Mamusia wciąż powtarza, że już niedaleko, a my jedziemy wciąż i jedziemy. Nareszcie wóz stanął. – „Już" – powiedział furman. Otworzyłam z trudem oczy. Było już ciemno i tylko światła elektryczne pozwalały dojrzeć cokolwiek wokoło. Budynek, duże okna, siostry, nosze, nerwowo-szybkie ruchy doktora, jakieś słowa mamusi... i już nic nie pamiętam.

Ocknęłam się rano, ale które to było rano – nie wiem. Usiłowałam się obrócić i przynajmniej przypomnieć, gdzie jestem. Chciałam wołać mamusi – nie mogłam mówić. Z trudem wydobywałam głos, chciałam się obrócić – ani rusz. Próżne wysiłki. Wtem ktoś do mnie podszedł, wziął mnie za rękę. Otworzyłam oczy. Nieznajoma twarz starszego mężczyzny uśmiechnęła się. – „Już będzie dobrze" – usłyszałam. Co chwilę ktoś przychodził, coś do mnie mówił, ale nie słyszałam. Przyszła siostra Marusia z sanitariuszką, prześcieliły mi posłanie i obróciły mnie na drugi bok. Wtedy zauważyłam, że leżę wysoko. Tak. Leżałam na stole. A byłam taka bezsilna, że o własnych siłach nie mogłam usiąść. Co dzień czułam się niby lepiej. Po kilku dniach dowiedziałam się, że w tym szpitalu leży: Lala, Józio, Jadzia, a Rysio z Dzidzią już wrócili do „domu". Była tu Jasia Kułakówna, Marysia Stawarzówna i ich ojcowie.

Po tygodniu już czułam się naprawdę lepiej, aż tu wieczorem wyjazd. Wsadziły nas siostry na ciężarowe auto. Byłyśmy tylko w koszulach i owinięto nas w koce. Była już noc. Mróz z wiatrem dokuczały, szczypiąc niemożliwie. Auto trzęsie, aż się coś w środku przewraca. Będąc bezsilna, musiałam się poddawać tym ruchom bez oporu. No, nareszcie jesteśmy na miejscu.

Przyniesiono nas do mieszkania. Sanitariuszka posadziła mnie na łóżku w jednej z sal, gdzie było 6 osób, a wszystkie Rosjanki. Na łóżku tylko siennik, a ze mnie nielitościwi zdarli koc i koszulę. Zostałam tak w stroju Adamowym przeszło godzinę. Zmarzłam już tak, że nie mogłam się opanować i zaczęłam płakać. Po pewnym czasie sanitariuszka Hela Zamerfeld przyniosła mi koc i koszulę. Okryłam się, ale całą noc nie mogłam się ogrzać i nawet grzałki nie pomagały. Do rana nie spałam. Rano 39 stopni temperatury. Ogarnął mnie okropny żal, bo przecież byłam już prawie zdrowa, a teraz znów.

Ale i w tym szpitalu nie zagrzałam miejsca. Po dwóch tygodniach i z tego przewieźli nas gdzie indziej. W tym ostatnim warunki były najlepsze, bo przynajmniej wszy nie łaziły po podłodze, jak to było przede wszystkim w szpitalu miejskim. O jedzeniu mówić nie warto, bo oprócz gorzkiej herbaty lub zupy z otrąb jęczmiennych i 200 gram chleba nie było nic. Tak pielęgnowali chorych...

Nie mniej niż 15 trupów wynosili ze szpitala co dzień. Składali wszystkich na jedną *telegę* [furę] i specjalnie do tego przeznaczony człowiek odwoził na cmentarz. A tam podjeżdżał nad dół (grób), wywracał *telegę* i wszystkich, jak nie-ludzi, zasypywał ziemią. Oczywiście, że chowali gołych.

Dni mijały. Przychodziłam do zdrowia. Aż wreszcie przyszedł dzień tak oczekiwany. Przyjechała mamusia i zabrała mnie, Józia i Jankę Kułakównę do „domu". Jadzia z Lalą zostały jeszcze w szpitalu, ale czuły się już prawie dobrze, tylko miały trochę temperatury. Jechaliśmy wolno. Wiosna już była w pełni. Czułam się tak dobrze, a wpływało na to z pewnością świeże powietrze. Wjechaliśmy do kołchozu, który z daleka było widać. Poznałam te szare mury. Ale teraz było trochę inaczej. Zieleń drzew urozmaicała obraz. *Arba* stanęła przed *kibitką*, szłam sama, o własnych siłach. Zaledwie kilka kroków i – bęc. Usiłowałam się roześmiać i tłumaczyłam się, że mi się płaszcz zaplą-

tał. Byłam zadowolona, że już nie jestem w szpitalu. I znów żółwim krokiem szedł dzień za dniem. Nie było co jeść. Widziałam, jak mamusia ciężko pracowała na ten kawałek *lepioszki*. Sześć razy dziennie jadłam spodeczek cebuli z solą i *ajranem* [rodzaj zsiadłego mleka, zwykle wielbłądziego] – to było jedyne moje pożywienie. Mimo wszystko powietrze dodawało mi sił i już po tygodniu znów zaczęłam robić pończochy i tak się biedę popychało naprzód.

Był maj. W sobotę, 26 maja, mamusia z panią Kułakową poszły do Turkiestanu do szpitala. Nazajutrz rano wróciły i – o Boże, co za wiadomość... Jadzia umarła i już pochowana. Grabarz za pokazanie mogiły żądał 80 rubli, a skąd ich wziąć?? Boże! Uwziął się na nas los!! Nic, tylko choroby, mogiły i znów mogiły.

„Kogo Pan Bóg miłuje, tego krzyżem prześladuje" – tak zawsze mówiłam. I choć było mi tak ciężko na sercu, tym się pocieszałam. Nieraz przychodziły chwile, że zdawało nam się, że już nigdy nie doczekamy dni jaśniejszych. Choroby, brak pożywienia, chłód powodowały te właśnie myśli. Ale Bóg chciał inaczej. Przyszliśmy stosunkowo bardzo szybko do zdrowia i każde z nas zaczęło pracować, jak mogło.

Pewnego dnia, gdy robiłam sweter, przyszła Liza (Rosjanka, żona uzbeckiego profesora, który był w wojsku). Po krótkiej rozmowie wyjęła karty i zaczęła przerzucać. Przypomniałam sobie, jak na Uralu wróżyła pani Olesiowa i postanowiłam spróbować. Zaraz następnego dnia zrobiłam sobie karty i zaczęłam próbować. Była przy tym Sahdat. Nazajutrz, ku wielkiemu mojemu zdziwieniu, przyszło kilka Uzbeczek z prośbą, bym im powróżyła. Nie wiedziałam, co mam na to odpowiedzieć. Pomyślałam jednak, że z tego może być chleb i oczywiście po dłuższej ceremonii zgodziłam się. Z min tych bab w czasie wróżby wnioskowałam, czy prawda, czy nie i w końcu zauważyłam, że

były zadowolone. (Muszę dodać, że jedna z nich rozmawiała po rosyjsku). Sowicie mnie wynagrodziły i poszły.

Początek był dobry. W przeciągu trzech dni wiedzieli już o tym ludzie we wszystkich kołchozach. Cały dzień upływał mi na wróżeniu. Ale za to nikomu z nas teraz nie brakło *lepioszek* ni mleka, a nawet od czasu do czasu były dobre kluski ze smalcem baranim itd. W przeciągu tygodnia uzbierałam 200 rubli. Dziennie około 12 *lepioszek*, parę kilogramów mąki, zboża no i mleka czy mięsa. Byłam wprost rozchwytywana. Zwiedzieli się o tym ludzie z kołchozów sąsiednich i coraz częściej miałam gości nieznanych. Ale co to była za wróżba... Koń by się uśmiał, a głupi naród wierzył. Co prawda, często się sprawdzało, ale to nic innego, tylko Opatrzność Boża nad nami czuwała.

Nieraz byłam, jako to się mówi, w kropce. Bo były baby głupie, ale były i cwane. Te nie dawały po sobie nic poznać i chciały się dowiedzieć wiele rzeczy. No – wtedy to musiałam i na karty patrzeć, i myśleć. Ale przecież od czego głowa? Zwykle robiłam w ten sposób: przede wszystkim starałam się poznać język uzbecki, co udało mi się bardzo szybko, udawałam jednak, że nic nie rozumiem. Uzbeczki, będąc pewne, że nie rozumiem, rozmawiały między sobą o tym, co chciały wróżyć. Korzystałam z tego i ubierając usłyszane słowa barwnie i zawsze mniej lub więcej korzystnie, obszernie powtarzałam. Baby wytrzeszczały oczy ze zdziwienia, hojnie mnie wynagradzały i obiecując wiele gdy się sprawdzi, odchodziły. Jakoś dziwnie się układało, że bardzo często wróżba się sprawdzała, a wtedy Liza Pałacz (tak mnie nazywali) uważana była za wyrocznię. Ślepo wierzyli w każde moje słowo. Między innymi miałam wypadek, że pewnej Uzbeczce, która już 8 lat nie miała żadnej wiadomości od syna, powiedziałam, że za 18-20 dni dostanie list, że jest ranny w nogę. Trzeba trafu, baba za 20 dni otrzymała list od tego syna z tą właśnie wiadomością. Nie wiedziała, czym mnie obdarzyć.

Tak dni upływały. Na robotę nie chodziłam, bo i sił nie miałam. Aż tu pięknego poranka *predsiedatiel* każe mi iść na robotę, inaczej spisze protokół. Nie miałam wcale zamiaru tłumaczyć mu się i odpowiedziałam tylko, że nie myślę o głodzie pracować (bo z kołchozu nic nam nie dawali od miesiąca). – „*Muki niet, raboty niet*" [nie ma mąki, nie ma pracy] – taką zawsze dawałam odpowiedź. Przeszło do wieczora. Robiło się już szaro, siedziałam w *kibitce* z panią Stawarzową, Janką i Marysią. Nagle Marysia krzyknęła trochę zmieszanym głosem, że idzie do nas *predsiedatiel*. Pani Stawarzowa zbladła. Była pewna, że idą mnie aresztować. Mimo woli roześmiałam się.

Drzwi się otworzyły i wszedł *predsiedatiel*. W mieszkaniu panował już mrok i trudno było nawet rozpoznać, jaką miał minę. Pierwsze słowa, które wyrzekł, to: „Gdzie Liza?" I teraz zaczął prosić, abym mu powróżyła. Broniłam się tym, że nie ma lampy itd., aż tu przynosi lampę i co tylko było trzeba. Widziałam, że na nic zda się opór, więc postanowiłam mu zadość uczynić. Całe szczęście, że znałam trochę jego sprawy rodzinne i mniej więcej urzędowe, więc zaczęłam bujać. W międzyczasie spoglądałam, jaki ma wyraz twarzy. Gdy zauważyłam ciekawość i zamyślenie na jego twarzy, wiedziałam, że dobrze. Wypytywał mnie jeszcze o różne szczegóły. Był zadowolony. Wstał, pożegnał się i poszedł, nic nie płacąc. Byłam z tego zadowolona, bo ilekroć mi potem zarzucał, że zarabiam wróżeniem, odpowiadałam mu, że tyle płacą, ile on zapłacił. Nigdy już więcej nie próbował mnie wyganiać na robotę.

Żyło się jako tako. Dzidzia bawiła Ersypkie u Sahdat, a Lala była u Odał-tote. Było jej tam dobrze. Salima, którą bawiła, tak się do niej przywiązała, jak do matki. Przyszedł czerwiec. Ludzie trochę wyjeżdżali w pole na żniwa. Byłam zmuszona iść na robotę. Ciężka to była praca przy noszeniu ziemi, okopywaniu

waty lub noszeniu cegieł, ale cóż. Tak samo mijały dni w znojnej pracy.

Pewnego popołudnia nagle zachmurzyło się. Nikt nic nie przypuszczał. Aż tu wieczorem (wszyscy już pokładliśmy się spać) rozległ się przeraźliwy krzyk. Mamusia skoczyła do okna i – o rety! Powódź! Woda już sięga prawie po okna. Wszyscy uciekają z krzykiem. Zerwaliśmy się natychmiast i ubrawszy się poczęliśmy uciekać. Wody na podwórku było już po pas. Na drodze ledwie było widać koniom grzbiety. Trwoga zapanowała w kołchozie. Wydostaliśmy się bokami na dość wysoki pagórek, gdzie przesiedzieliśmy całą noc i część dnia. Wiele tej nocy runęło *kibitek* (nasza jakoś ocalała).

I znów było pełno roboty. Warunki były coraz gorsze. Byłam zmuszona pracować w kołchozie. Nie chcę już pisać o tej biedzie, jaka nas nawiedziła. A gdy w takich bardzo ciężkich chwilach zwracałam się do pana delagata – zawsze odchodziłam z jednym: „Na razie nie ma nic”.

DROGA DO WOLNOŚCI

W tym to czasie przyjechał jakiś przedstawiciel wojska z Jangi-Julu i założono w Turkiestanie polską ochronkę, do której zabrano Dzidzię, Józia, Lalę i Rysia. Ja jako starsza zostałam przy mamusi. Co tydzień chodziłam na zmianę z mamusią do Turkiestanu odwiedzić ich. Ciężkie to były wyprawy. Po całodziennej pracy w sobotę wybierałyśmy się na noc w drogę. Szłyśmy zawsze gromadą, 6-10 osób, i tak niepostrzeżenie przechodziliśmy 35 km drogi przez szczere pole. (Po drodze był tylko jeden kołchoz). Rano odwiedzałam dzieci i z powrotem do „domu".

Po tygodniu dowiedzieliśmy się, że w Turkiestanie przyjmują do junaczek. Gdy wiadomość dotarła do mamusi, która nie mogła patrzeć, jak ciężko pracowałam, a co szkodziło memu zdrowiu, perswadowała mi, abym wstąpiła. Nie chciałam o tym słyszeć, bo jakże miałam zostawić mamusię samą. Kilka dni trwała namowa. – „Tam będziesz się uczyć, kształcić i będziesz mogła pracować dla naszej Ojczyzny, która od was czeka nowego życia. Pomścisz pracą śmierć Tatusia" – te słowa zwyciężyły.

19 lipca 1942 r. o godz. 11-ej w nocy ja, Janka i Marysia żegnałyśmy mamusie. Odprowadziły nas za kołchoz i tu... – „Boże, prowadź" – słowa te brzmiały nam bez ustanku w uszach, i teraz je słyszę. Szłyśmy, szłyśmy, nic prawie do siebie nie mówiąc. Noc była ciemna, bez gwiazd. Gdzieś daleko

rozległ się przeciągły gwizd lokomotywy, daleko drżały światełka. Szłyśmy szybko. Zorze poczynały już wschodzić, gdy przyszłyśmy do ochronki w Turkiestanie. Wszystko jeszcze spało, więc musiałyśmy zaczekać u podwoi. Nareszcie rozwarły się ze zgrzytem. Oczywiście upłynęło półtora dnia i już byłyśmy przyjęte formalnie.

W małym pokoiku zamieszkało nas czterdzieści pięć. Spałyśmy na dworze, na kocach itd. Następnego dnia przeznaczono mnie do pomocy pani doktor. Uwijałam się cały dzień przy dzieciach w szpitaliku. Rozdawałam lekarstwa, zakrapiałam oczy (należy dodać, że choroba oczu była epidemią), obandażowywałam rany itd. Ale nie trwało to długo, bo nazajutrz, ponieważ byłam najmniejsza, musiałam iść pomagać w kuchni. Po południu miał odchodzić pierwszy transport do Jangi-Julu. Pojadą te, które przyszły najwcześniej. Roboty mamy dużo, bo musimy tym, które jadą, nasmażyć naleśników na pożegnanie. Za dwie godziny odmarsz na stację.

Wtem woła mnie pan delegat. – „Proszę się spakować i dziś pojedziesz." – Co? W pierwszej chwili nie rozumiałam. Dzidzia już dwa miesiące jak pojechała i nie mieliśmy od niej żadnej wiadomości, mamusia nic nie wie, Janka i Marysia zostają – wszystko to tłoczyło się do mojej głowy, ale nie było czasu do namysłu. Zaraz pożyczyłam od Marysi spódniczkę, jedyny swój *sarafanik* [kaftanik] wyprałam i w niespełna godzinę, w nieco jeszcze wilgotnym *sarafanie*, byłam gotowa. Rzeczy żadnych nie miałam, pożegnałam się z koleżankami i odeszłam z innymi na stację.

Do stacji było około 3 km. Szłam, nie mogąc przemówić słowa. Wewnątrz, w głębi duszy, staczałam walkę ze sobą: jechać, czy zostać? Jak to, nawet mamusia o tym nic nie wie, a ja już jadę. Dokąd, nie wiem sama. Pojechała już Dzidzia i żadnej o niej nie ma dotychczas wiadomości. Boże, któż mi wskaże

drogę, jeśli nie Ty. Zaczęłam się modlić. Nie zauważyłam, że było już zupełnie ciemno i doszłyśmy do stacji. Coś mi mówiło, że przecież Polska na nas czeka. Nam nie wolno robić tego, co nam odpowiada, ale musimy spieszyć Ojczyźnie z pomocą. Odbudować ją z gruzów. Podnieść i stworzyć przy pomocy Boga potężną, wielką, której by nigdy nikt nie mógł zrobić krzywdy. Teraz przyszły mi na myśl słowa najdroższego Tatuśka, który do ostatka dni swoich służył tak ukochanej przez niego Polsce. Nie zawahał się i życia dla niej oddać, chciał własną piersią zasłonić ją od tej nawały bolszewickiej. Wiedział, że ma przecież rodzinę, a kochał nas bardzo. Odszedł. Nad nami zawisły straszne dni. Ach! Te wspomnienia... Jakże są one bolesne...

Na stacji spędziłyśmy noc. Nie mogłam zasnąć. Wszystkie przeżycia stanęły mi przed oczami. Nie odczuwałam zimna ani też głodu. Słońce już wzeszło. Na śniadanie zjadłyśmy w stołówce na dworcu po porcji zupy z chlebkiem i o 9-ej rano pojechałyśmy. Z wagonu widać było wieżę, która była blisko kołchozu Stary Ikan. Tu znów ścisnął mi serce ból. Tam przecież mamusia została. Mój Boże!...

Jechaliśmy do wieczora. Zatrzymaliśmy się w Jangi-Julu, a rano byliśmy już we Wrewskoje. Pan Brin z kimś drugim przywieźli nas tutaj i zaraz gdzieś wyjechali. Idziemy ze stacji do obozu. Ach! Jak tu ładnie. Tyle drzew. Oczy, spragnione ich widoku, nie mogły się od nich oderwać. W dali nad rzeczką pod dużymi drzewami coś bieleje. Jakieś stożki, przy nich coś niby mrówki się uwija. Dowiadujemy się, że to mieszkają junaczki, junacy i orlęta. – „Jak tam musi być ślicznie!" – co chwilę ktoś z nas powtarzał.

Doszliśmy do mostu. A tu – o! Naprawdę stoi warta. Pan Brin nas zameldował. Zaraz nas wpisał jakiś porucznik w okularach. Idziemy teraz dalej. Śliczne, czyściuchne, białe namioty. Wszędzie czyściutko i miło. Wybiegło z namiotów tyle junaczek

i orlątek. Wszyscy się nam przyglądają. Patrzymy na nie przez łzy. One tak ładnie ubrane, a my w łachmanach.

Lecz oto oczom swym nie wierzę. Kto to? Dzidzia!! Rzuciła mi się na szyję. Boże, tak długo nie widziałyśmy się i nawet nie wiedziałam, gdzie ona jest. Jak doskonale wygląda. Jak ładnie ubrana. Nie dadzą nam dojść do słowa. Obstąpiły nas. Dzidzia zaciągnęła mnie do swego namiotu i ze swoimi koleżankami zaczęły mnie zasypywać, czym tylko chcecie. Owoce, daktyle, czekolada, konserwy, bułka, chleb. Nie wiedziałam, za co mam się wpierw brać. Wreszcie najadłam się do syta, o czym już tak dawno marzyłam. Bo od dwóch lat człowiek był wciąż głodny.

Tak minął dzień pierwszy i drugi. Natychmiast napisałam do mamusi i poszłam do tego porucznika w okularach, pana Kąkola, z prośbą, aby ściągnął mamusię z kołchozu. Pocieszył mnie, ale – jak to mówią – „obiecanka cacanka, a głupiemu radość".

Trzeciego dnia nowe junaczki zostały umundurowane. Do obiadu i po obiedzie musztra. Fajny jest ten por. Juzwa. Przynajmniej. Jak nas kilka razy przemusztrował, to wszystko chodziło jak prawdziwe wojsko. Spałyśmy na ziemi. Jeden koc pod siebie, buty pod głowę, drugi na wierzch i fajno. Od czasu do czasu zbierałyśmy kłosy na kołchozowych polach, za co w zamian dostawałyśmy owoce. Kuchnia była fajna. Jednym słowem, wszystko było fajno.

6 sierpnia 1942 r. po wieczornej modlitwie jak zwykle czyta porucznik rozkaz. Czy dobrze słyszę? Nastawiam bardziej uszy. Rzeczywiście: „Pawlicka Elżbieta, drużynowa 1-ej drużyny III-go plutonu I-ej kompanii...", a na dodatek tego wieczoru trzyma wartę od 12-tej do 2-ej godz. w nocy. Natychmiast po modlitwie odbyła się odprawa warty. Objaśniono nam, co do kogo należy i komu należy się meldować. Po odprawie kazano nam iść spać, aby na wartę nie zaspać.

Nie mogłam tej nocy do 10-tej zmrużyć oka. Junaczki z tegoż namiotu opowiadały mi, jak często porucznik sprawdza czujność warty, podkradając się pod krzakami w kierunku magazynu lub namiotu. Zdrzemnęłam się chwilkę i wtem weszła służbowa budzić na wartę. Zerwałam się i w niecałe dwie minuty już byłam gotowa. III-ci rejon dość duży. Chodziłam tam i z powrotem, uważając bacznie, aby ktokolwiek nie przemknął się do obozu od strony przyległego ogrodu. Tak chodząc zauważyłam, że ktoś zbliża się do obozu z przeciwnej strony. Szedł powoli, toteż zaczęłam go obserwować. Zaczął okrążać i starał się podejść do namiotu z drugiej strony. – „He, znam się na tym" – pomyślałam i natychmiast zastąpiłam mu drogę, postępując z nim jak prawdziwy wartownik. Odprowadziłam go na wartownię i okazało się, że był to saper, który miał jakiś interes do porucznika. Pośmieli się trochę, a porucznik był bardzo zadowolony, co mi najbardziej zaimponowało. Wróciłam na swój posterunek. Jeszcze tylko parę minut i mnie zmieniono.

Tak dni upływały. Poprawiłam się bardzo. Często na nocnych wartach zdawało mi się, że przez gwiazdki patrzą na mnie oczy Tatusia, który cieszy się i uśmiecha, widząc nas pełniące wartę. (Bo i Dzidzia też często miała wartę). Za tydzień przyjechał nowy transport z Turkiestanu. Może mamusia przyjedzie? Lecz niestety. Przyjechały tylko wybrane przez pana delegata panie i dzieci. Przyjechała Janka i Marysia, Walka z Janką, Dorka i inne, a z Dzałabatu Marylka Kołodziej. Dowiedziałam się, że mamusia ma zamiar przenieść się z panią Kułakową i Stawarzową do miasta i tyle wszystkiego. Zaraz wieczorem, prawie po omacku, trochę przy księżycu, napisałam list do mateńki, który zabrała znajoma pani odjeżdżająca do Turkiestanu. Bolała mnie niesprawiedliwość ludzka i polecałam nas wszystkich opiece Bożej.

DO PERSJI

Przeszło niepostrzeżenie dwa tygodnie. Dowiedzieliśmy się, że wyjeżdżamy do Krasnowodska, a stamtąd za granicę. Jednego dnia wyjechali chłopcy. Całą noc musiałyśmy czujnie pilnować, bo zaczęli podchodzić do namiotów Uzbecy. Z wieczora, kto miał jakiekolwiek łachy prócz wojskowych, kazano spalić. Poobcinano prawie wszystkim włosy. (Kto miał obcięte, a takich było wiele, tym oczywiście nie mieli co obcinać). Całą noc paliliśmy walizkami i starymi sukienkami, całą noc tliły się włosy, których był prawdziwy stos. W nocy zerwał się wiatr i deszcz zaczął padać, ale trwało to niedługo. Rano już wszystko uporządkowano. Zdjęto flagę, por. Kąkol i Juzwa mieli krótkie przemówienia, po czym wyjechaliśmy na stację.

Wagony już na nas czekały. Oczywiście, że towarowe. Ładowaliśmy się do wieczora. Ciasno było niemożliwie. Jeszcze w dzień jako tako, ale noc – okropna. Każdy drzemał, a nie mógł się położyć, bo nie było gdzie. W naszym wagonie jechał por. Kąkol. Widząc senne dzieci, zajął się ich ulokowaniem. Namęczył się biedak niemało, ale swego dopiął. Na ziemi, na walizkach, gdzie tylko mógł, poukładał wszystkich, a sam, oparłszy się o ścianę, przy samiutkich drzwiach siedział na beczce i drzemał. Przemęczyliśmy noc. Znów przyszedł ranek. Pomimo że dostawałyśmy czekoladę, różne konserwy, cukier, kiełbasę,

chleb, owoce, w większych miastach dostawałyśmy obiady, jednak nie mogłyśmy nic jeść.

Trzeciego dnia przyjechaliśmy do Krasnowodska. Pustynia istna, oprócz tego naokoło niemal otoczona górami. Wysiedliśmy. Zaprowadzono nas do budynku, gdzie mieściła się już cała masa ludzi. Tu spotkałam wielu znajomych, a między innymi panią Furgałową, Rutkowskich i wiele innych osób. Co się tu działo... Strach wspominać. Wody choć na lekarstwo trudno było dostać. Za litr wody oddawałyśmy konserwy, sucharki, czekoladę, byle by tylko kroplę wody zdobyć. Ileż tam trupów zostało...

W dzień chodziłyśmy się kąpać w „smole", takie bowiem jest Morze Kaspijskie przy brzegu. Woda w morzu słona jest niemożliwie, wobec tego nie mogła się nadawać nawet do gotowania. Po dwóch dniach autobusami przyjechaliśmy na przystań. Ulokowaliśmy się przy samiutkim brzegu. Tu woda była prawie bez tłuszczu pływającego, toteż mogłyśmy się przynajmniej umyć.

Morze w tym miejscu jest zupełnie spokojne i tylko lekko napływające fale, goniąc jedna drugą, cichutko szemrzą. Od czasu do czasu okręt wdziera się swą stalową piersią w lustrzaną taflę. Widać, że morze się gniewa. Zaczyna się pienić, szumi coraz głośniej, zdaje się, że nieznośny okręt, który wdarł się i począł mącić jej spokój, chce wciągnąć w głąb, zanurzyć, utopić. Szarpie się z nim, zmagają się. Nie może dać fala rady. Okręt dojechał do brzegu. Stanął wolno, tak jak wolno się zbliżał. Poczęli wysiadać jacyś ludzie.

Wtem rozkaz: „Jedziemy! Plutonami proszę wsiadać" – rozlegały się podawane z ust do ust słowa. Powoli. Wsiadamy. Żołnierze pomagają nam nosić plecaki. Mało tego, że miałyśmy dość dźwigania własnych plecaków, to musiałyśmy nosić rzeczy paniom plutonowym. Trzeba zaznaczyć, że te zawsze lubiły się

nami posługiwać. Zmęczone, wreszcie byłyśmy już na pokładzie. Tu było już bardzo dużo ludzi. Starcy, młodsi i dzieci, wszystko to wyglądało jak mrówki obsiadłe kopiec mrowiska.

Wieczorem ruszyliśmy. Słońce zachodziło, gdy odbijaliśmy od brzegu. Różowe promienie pieściły spokojną taflę, muskając ją swymi pocałunkami. Nad morzem unosiły się gdzieniegdzie białe mewy, które od czasu do czasu przysiadały na lśniącej powierzchni. Ostatnie promienie żegnały dzień 30 sierpnia 1942 roku. Okręt począł pruć wodę zanurzając co chwilę swój dziób. Kołysał się z boku na bok. Jeszcze chwila, a trudno odróżnić niebo od ziemi. Czarna toń nad i pod nami. Nawet gwiazdy zgasły na niebie, a morze zaznaczały gdzieniegdzie migające światełka kolorowe.

Wtem coś się stało. Stoimy w miejscu. Okręt zaczął się kołysać z boku na bok. Zaczęły ryczeć syreny przeraźliwie. Wielu ludzi spało, ale kto nie spał, z duszą i z sercem wzniesionym do Stwórcy za przyczyną Mateńki Najświętszej błagał o ratunek. Po dość długiej chwili nadjechały dwa okręty, nasz przywiązano do nich i dopłynęliśmy do jakiegoś brzegu. Wyruszyliśmy znowu i rano na horyzoncie ukazały się jakieś drzewa i światła. – „Dojeżdżamy" – rzekło kilku żołnierzy.

Nareszcie. Dobijamy do brzegu. Okręt dalej płynąć nie może, wobec tego przesiadamy się na motorówkę i nią dojeżdżamy do brzegu. Tu już czekały na nas auta. Wsiadamy na nie szybko. Jedziemy, rozglądając się wokoło. Cóż to? Sen czy jawa? Śliczne budynki otoczone ogrodami. Moc kwiatów, drzewa owocowe, domki jak pudełeczka, sklepy pełne towarów, wspaniałe wystawy, wszystkiego w bród.

Przyjeżdżamy do szałasów. Są tu już „pestki" [PSK – Pomocnicza Służba Kobiet] i żołnierze. Wskazano nam duży szałas. Natychmiast ulokowałyśmy się. Nie zdążyłyśmy usiąść, a tu: „dobre, świeże jajka, dobry bułky". To tybylcy kupcy zachwalają

swój towar. Pytamy o cenę. Wszystko bajecznie tanie. Nie miałyśmy pieniędzy, ale miałyśmy różne konserwy, za które wymieniłyśmy wszystkiego. Znużone podróżą morską położyłyśmy się wcześnie spać. Ponieważ Dzidzia źle się czuła i cały czas w drodze była chora, okryłam ją swoim płaszczem, a sama spałam tylko pod jednym kocem.

W nocy nadeszła chmura i zaczął lać deszcz. Zmokłam porządnie i zmarzłam. Do rana wytrwałam tak, ale dalej nie udało mi się. Dostałam gorączki, czułam się okropnie, ledwie chodziłam, a tu panna Urszula uwzięła się na mnie i wygoniła na musztrę. Nie wiem, dokąd by mnie tak męczyła, gdyby nie to, że na jednej ze zbiórek, w czasie odliczania „do dwóch", zemdlałam. Pamiętam, że leżałam w namiocie, gdy przyszedł doktor. W namiocie leżały jakieś dwie obce dziewczynki bardzo chore. Dostawałam codziennie po trzy pastylki. (Jak się później dowiedziałam, była to chinina.) Teraz co dzień czułam się gorzej. Nie wiem, czy do mnie ktoś przychodził i kto był koło mnie. Całe noce nie mogłam spać. Jakieś cienie przesuwały mi się przed oczami. Zamykałam je co chwila. Chciało mi się niemożliwie pić, ale nie było co. Nie mogłam się podnieść. Paliła mnie gorączka. Gdzieś wyły szakale, a ja w tej tak piekielnej męce trwałam prawie do rana. Zawsze nad samym ranem opuszczała mnie gorączka i wtedy chwilkę spałam. Budziłam się rano i zdawało mi się, że jestem zdrowa. Próbowałam sama wyjść na dwór, ale nie wystarczało mi siły. Ledwie podniosłam się z posłania, a opuściły mnie siły, pociemniało w oczach i opadałam na powrót na łoże boleści.

Od tej pory co dzień o godzinie jedenastej miałam coraz to gorsze i cięższe ataki malarii. Coraz to mocniej rzucało mnie, trzymałam się wtedy kurczowo posłania, ale to nic nie pomagało. Co noc przechodziłam takie same męczarnie. Ale złego było jeszcze mało. Więc na dodatek, nie wiem, czy z gorączki, czy

z innego powodu zrobił mi się na podniebieniu mały pryszczyk. Pokazałam to doktorowi. Ten kazał siostrze wylapisować go. Siostra, zamiast krostkę, wylapisowała mi całe dziąsła. I teraz zaczęła się dla mnie podwójna męka. Dziąsła popuchły mi okropnie. Do rana całe tworzyły jedna ranę. Nie mogłam ust otworzyć ani zamknąć. Niemożliwe było, abym cośkolwiek wzięła do ust, albo mówiła. Tak z półotwartymi ustami, nic nie jedząc, leżałam jeszcze dwa dni w namiocie.

Potem odtransportowali mnie do ozdrowieńców. Tu raz na dzień rano zaglądał doktor, siostra-Żydowica nie bardzo interesowała się chorymi. Żyłam tu tylko chininą płynną i w pastylkach oraz gorzką herbatą kupowaną w sklepiku. Nic więcej jeść nie mogłam. Jeszcze od czasu do czasu wypiłam rzadkiego rosołku, a oprócz tego nic. Siostra z innego namiotu zaprowadzała mnie do dentysty. Po takich wizytach byłam z bólu prawie bez zmysłów. Dziąsła jednak prawie się nie goiły. Dentysta wyjechał i mnie wówczas przewieziono do szpitala w Pahlevi.

Tu dopiero lekarz i siostra zabrali się sumiennie do leczenia mnie. Po paru dniach czułam, że jest lepiej z moimi dziąsłami. Teraz już z dniem każdym było lepiej. Zaczęłam jeść co popadło, oprócz rzeczy słodkich. Sam doktor powiedział, że jest nadzieja, że mi zęby nie powypadają, co mi niechybnie groziło. Już miałam siłę chodzić. Używałam świeżego powietrza, ile się dało.

Łaziłam po rejonie, przyglądając się z daleka czarownemu miastu Pahlevi. Wyglądało naprawdę pięknie. W dni słoneczne przeglądało się w spokojnej tafli wód, zamkniętych między brzegiem i molem. To samo miasto wieczorem wyglądało stąd jak miasto z bajki. Tonące wśród zieleni pałacyki, wille i wspaniałe altany, w nocy ginęły wśród milionów różnobarwnych świateł, pod baldachimem granatowego nieba, często bez gwiazd. Pewnego razu tak chodząc usłyszałam głos znajomy. Tegoż samego dnia w „niepolitycznym" zakątku spotkałam po

przeszło dwóch latach Helę Szott i Irkę Müller. Od nich dowiedziałam się, że już wszyscy wyjechali do Teheranu.

Od tego dnia upłynął tydzień i my wsiadałyśmy do autobusu osobowego. Przedostatni transport wyruszał z Pahlevi do Teheranu. Gdy wyruszyliśmy, był ranek. Jechała z nami tylko jedna siostra sanitarna, a nas chorych 20 osób. Mijamy Pahlevi. Pozostają za nami sady i wspaniałe ogrody. Mijamy jakieś rozległe łąki porośnięte wysoką trawą, jakąś nieznaną mi roślinnością. Moc barwnych papug przelatywała z gałęzi na gałąź. To mi się podobało. Bawiły mnie te najróżnorodniejsze pejzaże. Lecz to się prędko skończyło. W południe wjechaliśmy w góry. Zaczęły się serpentyny i nagłe skręty. Nad nami z prawej potężna skalna ściana, a po lewej tuż za drogą przepaść. Co chwilę miałyśmy wrażenie, że lada moment stoczymy się w tę głębię. Tu i ówdzie spotykałyśmy leżące w dole potrzaskane auto czy taksówkę. Teraz nic nam nie pozostawało prócz przygotowania się na śmierć. Stało nam przed oczami jej widmo i Matka Najświętsza ochraniająca nas przed tąże i zasłaniająca swym płaszczem.

Wtem coś trzasło. Tak, to opona pękła. Wóz zaczyna się toczyć w tył. Akurat jesteśmy na ostrym zakręcie i wciąż jedziemy w górę. – „Jezus, Maria!" – wyrwał się równocześnie z wszystkich piersi okrzyk. Tymczasem szofer wyskoczył, podsunął duży kamień pod koło. Hamulce były założone, a to całe szczęście, bo inaczej kto wie, co by się stało. Szofer zabrał się do reperowania koła. Już mamy jechać, a tu okazało się, że w zbiorniku nie ma benzyny. Rozpacz czarna ogarnęła wszystkich. Widocznie sądzone nam tutaj zostać, skoro tak. Wszystkie wozy dawno pojechały naprzód, nic nie wiedząc o naszej przygodzie. Na szczęście jechała z Pahlevi cysterna z benzyną. Szofer dostał trochę benzyny i jako tako, późno wieczorem, dojechaliśmy do przystanku dla transportów szpitalnych, gdzie przenocowaliśmy.

Posiliwszy się i przespawszy noc, rano wyruszyliśmy w dalszą drogę.

Celem dzisiejszej podróży był Kazwin. Jechał z nami jeden z żołnierzy, porucznik dość młody, toteż było o wiele raźniej. Nie bez przygód dojechaliśmy do Kazwinu przed samym wieczorem. Zatrzymaliśmy się w ładnym budynku, który miał być częścią szpitala. Kolacja była doskonała, a nawet można tu było kupić owoców, co w drodze było nie do pomyślenia. Następnego dnia rano czekało nas już tylko 1/3 drogi, już o wiele bezpieczniejszej. Serpentyny były mniej strome i przepaście nie tak okropne. Byliśmy wysoko nad poziomem morza, teren stał się falisty, góry coraz mniejsze (bo byliśmy na górach), widmo śmierci ustępowało.

W blasku słońca nagie skały mieniły się tysiącem barw. Miałam chęć namalować kilka takich widoczków, ale nie miałam czym i na czym. Nieraz coś, jakiś głos odzywał mi się w duszy. Chciałam i pragnęłam wtedy tylko malować, tworzyć i odtwarzać, lecz niestety. Uśmierzałam głos wewnętrzny, tłumiłam wołanie, bo nie miałam go czym zaspokoić.

Nareszcie Teheran. Godzina 3-cia po południu. Zajeżdżamy przed szpital PCK, potem przed „cywilny". Wszędzie przepełnienie. Zbadano nas i jeszcze raz ostrzyżono włosy. Następnie doktor oznajmił, że nie ma miejsca i musimy jechać do obozów. Pojechałam do obozu pierwszego. Była akurat modlitwa wieczorna...

***

Po dwudniowym odpoczynku w Teheranie przewieziono nas wojskową ciężarówką do Isfahanu, gdzie zaczął się nowy rozdział w księdze mego życia.

Isfahan, 1942 rok


Główny Ołtarz
przy zakł. N. 6

EPILOG

Gdy przenoszę się pamięcią do lat wczesnego dzieciństwa, do najmilszych chwil należą wieczory. Po kolacji kładliśmy się do łóżka, a Tatuś długo czytał nam książki lub opowiadał o walkach wolnościowych, powstaniach, zsyłkach na Sybir i prześladowaniach Polaków. W wyobraźni mojej „Sybir" był czymś najokropniejszym co się stać mogło. Któżby wówczas pomyślał, że za kilka lat spotka i nas los niewolników i zsyłka w głąb Rosji.

W parę miesięcy po opuszczeniu Rosji opisałam przeżycia naszej rodziny od chwili wkroczenia wojsk sowieckich na teren Polski aż do opuszczenia przez nas tego padołu cierpień i łez. Była to nasza droga krzyżowa – znaczona mogiłami ukochanych osób – mogiłami, po których nie pozostało śladu.

Pisząc musiałam być bardzo ostrożna i niektóre wydarzenia ominąć – wszak mamusia pozostała w Rosji. Dlatego też wiele imion oznaczają inicjały. Jednym z takich przykładów było spotkanie na statku z Rosjanką, która podeszła do mnie z chlebem i ciepłym słowem, kiedy płakałam głodna i upokorzona przez jej rodaczkę. Oto dowód, że wszędzie spotkać można ludzi dobrych i współczujących doli innego człowieka. Inny podobny przykład to felczer na *posiołku*. Współczuł nam i okazywał troskliwość. Sam był więźniem przez wiele lat i stracił rodzinę. Żal mi było Rosjan bardzo – tych zwykłych, normalnych ludzi – bo byli oni więźniami we własnym kraju, nieustannie szpiegowani, bojący się własnych dzieci i wnuków, bo

te uczono donosicielstwa, co uważano za wielką przysługę dla ZSSR. „Ściany uszy mają" – było normą życia w Rosji.

Nas na *posiołku* nie bito. Biła nas nędza, głód, zimno, ciężka praca i choroby. Przekleństwa, rzucane na nas przez strażników, oraz ich bluźnierstwa przeciw Panu Bogu ignorowaliśmy – wiara i modlitwa była nam źródłem siły – tego nam nie zdołali odebrać. Byliśmy w tym piekle na ziemi tylko dwa i pół roku, a wydawało się to wiecznością. Gdy teraz z perspektywy prawie sześćdziesięciu lat patrzę na moją wędrówkę poprzez różne kraje, z serca mego płynie dziękczynna modlitwa do Pana Boga. Opatrzność stawiała na drodze mego życia ludzi szlachetnych, dobrych, którzy byli mi drogowskazami w latach dorastania, kiedy tak bardzo potrzebna jest nam rada i wskazówka dobrych rodziców.

Uczyliśmy się pracowicie i intensywnie, przygotowując się do pracy w wolnej Polsce, lecz drogę powrotną do kraju zamknęła nam Jałta i jej następstwa. Zmuszeni pozostać na emigracji, walczymy o byt i szukamy gościnnego kraju, który przyjąłby nas i pozwolił osiedlić się i normalnie prowadzić życie.

Mieszkam w Ameryce 45 lat, tu urodziły się moje dzieci, mam dom, trochę przyjaciół, a mimo to czuję się „wykorzeniona" – i takich jest wiele osób z mojej generacji – na pewno dlatego, że siłą wyrwano nas z gniazda, a rodzice i nauczyciele nauczyli nas kochać Polskę. Ziemię, z której wyszliśmy, politycy obcych krajów oddali Stalinowi – „ciepłą rączką" i bez wahania – a ludzie? Czymże są ludzie dla polityków, jeśli nie pionkami, które można przesuwać do woli według widzimisię.

Pożera nas tęsknota – we snach odwiedzamy te pola, sady, łąki i mogiły. Pociechą jest nam polskie słowo i polska piosenka. Staramy się zachowywać polskie tradycje w naszych rodzinach – i tak upływają lata i dobiegamy końca naszej ziemskiej wędrówki, a wiara jest wciąż tym bezdennym źródłem siły.



Zbadaj swe serce, czy jako żywy zegar odbija w sobie wiernie odwieczną wolę Serca Bożego, powtarzając bezustannie: „Bądź wola Twoja..."

ks. F. Bardel

DO KRÓLOWEJ POLSKI

Najjaśniejsza Królowo prastarej Korony,
Matko najserdeczniejsza Twoich polskich dzieci,
Oto się dziś chylimy przed Tobą z pokłonem,
Gdy nadszedł, jak co roku, radosny Maj Trzeci.
Niesiemy Ci z pokłonem najpiękniejsze perły:
Łzy Matek Polskich – do Twej Królewskiej Korony,
Niesiemy Ci rubiny – do Twojego berła –
Krople krwi z serc polskich dzieci, tak bardzo męczonych.
Kiedy wojsko nie miało gdzie przyłożyć głowy,
Gwiazdami błyszczącymi jak srebrem obsiane,
Niesiemy Ci – na płaszcz Twój – noce szafirowe,
Twoje wierne zastępy, Wiarusy kochane...
Wszystkie Ci na naszyjnik niesiemy różańce,
Wszystkie: „Jezus, Maryja" krzyczane wśród bitwy,
Wszystkie Ci na podnóżek dajem polskie szańce
I wszystkie za Ojczyznę szeptane modlitwy.
I tak Cię ustroiwszy błagamy, o Pani!
Abyś nie opuszczała swoich polskich dzieci.
Zlej na Naród nasz łaski – w święto królowania,
W święto Twej chwały, Mario, w radosny Maj Trzeci!

Z OPŁATKIEM BIAŁYM

Idę do was z opłatkiem wigilijnym,
Z chlebem anielskim miłości, zbratania, zgody i pojednania.
Do tych wszystkich, którzy cierpią.
Do tych wszystkich, którzy płaczą i żyją w smutku a utęsknieniu...
Do udręczonych, do głodnych i zziębniętych, do poniżonych i prześladowanych
– Niosę chleb Boży w ten wieczór wigilijny, w który rodzi się Zbawiciel świata...
Ponieście głowy i duchy, gdziekolwiek bądź jesteście.
Nie traćcie nadziei. Obudźcie ją!
Oto dziś schodzi na padół ziemski Sprawiedliwość i Miłość.
Idę do wszystkich tych, co w godzinie wigilijnej są jako tułacz błędny i jako ptak spętany.
Do tych, co bez dachu nad głową snują się...
Do tych, co w celach więziennych nie dojrzą gwiazdy-zwiastunki.
Do wszystkich, co w daleczyźnie śnieżystej do ziemi tęsknią rodzinnej,
do jej powietrza, do szmatu nieba polskiego.
Pozdrawiam was bratersko... kochajcie, tęsknijcie – czuwajcie.
Idę do wszystkich, którym nikt opłatka nie poda... Do tych, których
nikt nie pocieszy... Do każdego potrzebującego serdecznego słowa.
– Z opłatkiem białym idę do was... do was wszystkich, bracia moi.
Niech ten Bóg, który się rodzi, da wam otuchę i moc i wytrwanie.
Idę do grobów... do tych grobów dalekich i bliskich, starych, w
ziemię zapadłych i niedawnych – najświeższych...
Posyłam wam westchnienie i modlitwę...
Nie żałujcie życia oddanego w ofierze, bohaterowie moi, albowiem pamięć wasza żyje w każdym drgnieniu serca mego.
– Z opłatkiem białym idę do was...

Xawery Pusłowski

MIŁOSIERDZIE

W białość groźniejszą od kiru,
wśród śnieżnych, ubitych szańców,
Przez wieś graniczną Sybiru
Rok w rok szedł konwój wygnańców.

W te dni – postać zgięta wiekiem
Czekała u wiejskiej dróżki,
Zbrodniarzom niosła chleb z mlekiem
Litość rosyjskiej babuszki.

Czy pieszo był, czy w kibitce
Każdy chleb dostał – acz suchy,
Czy był w łachmanach, czy w świtce,
Drżący od rózg – czy bez skruchy.

Najmłodszy szedł – uczeń może –
Związan przestępstwem jednakiem...
Westchnęła stara: „Mój Boże,
Tak młody – a już POLAKIEM!"

Rosja, ok. 1900 roku

Edward Chudzyński

OPŁATKI WIGILIJNE

Idzie przez pola Wieczór Boży,
Przed chatą wybielaną.
Pod szorstkie płótno ktoś podłożył
Pachnące słońcem siano.

Z chusty opłatki rozsypane
Na malowaną misę.
W rogu jedlina, snop pod ścianą
Kłosami w takt kołysze...

Tak ci się bracie wilia marzy
I chata śni się nieraz.
Gdybym cię widział – to bym z twarzy
Łzy ci jak perły zbierał.

Takie się przędą sny pod czołem,
Tak byś dziękował Bogu,
Żeby móc zasiąść za tym stołem,
Móc krzyżem leżeć w progu.

Tobie zostało rumowisko,
Poprzepalane dyle.
Zielskiem i mchem porosło wszystko,
Krzyż spróchniał na mogile.

Tobie zostało puste pole,
Chwastem porosłe, dzikie.
Śpiewa ci w sercu echo kolęd,
Krtań ściska ci skowytem.

Wiatr się rozśpiewał w polnej gruszy
Tęsknie a melodyjnie.
Śnieg z pierwszą gwiazdą zaczął prószyć...
– Opłatki Wigilijne.

Jan Minkiewicz

KOLĘDA UŁAŃSKA

Szwadron stój! Rotmistrz w górę podniósł rękę.
Zobaczyli na polanie stajenkę
Prostą szopę, całą śniegiem otuloną,
Ale blaskiem gorejącym rozjarzoną.
Do modlitwy już komenda pada
Wybiegł Józef, palce do ust przykłada.
Już, już mieli kolędę zawrzasnąć,
Cyt chłopaki, dopierutko zasnął.
Od ust trąbki odjęli trębacze
Bo się zbudzi Dzieciątko i rozpłacze.
Tylko Jasio się w szeregu odzywa:
Gruchnąć by Mu z karabinów na wiwat!
Lecz pan wachmistrz brew zmarszczył: Ja ci gruchnę!
Kogo chcesz straszyć, Najświętszą Matuchnę?
Więc się tylko każdy w siodle wyprostował,
A pan wachmistrz stajenkę salutował.
Potem w ciszy pluton za plutonem
W prawo patrz Jezusowi z fasonem!
Pojechali w noc ciemną kędy im droga
Koń nie zarżał, nie zadźwięczała ostroga.
Obudziło się Paniątko, zapytało:
Wojsko piękne tu, Matuś, jechało?
Śniłeś synku, ci chłopcy i te konie
Są już w Twoim niebieskim garnizonie.
Już niewielu się po ziemi kołacze.
Jakże to tak? pyta Jezus i płacze.
Ach w Katyniu głowa tego rotmistrza
W krwawym piasku oczodoły wytrzeszcza.
A porusznik ten zgrabny smagłolicy
Przez gestapo zamęczon w piwnicy.
A ci dwaj młodzi podchorążowie
Na powstańczym legli Mokotowie.

A tam wachmistrz także już umarły,
W tajdze tyfusowe wszy go zżarły.
A ten Jasio co Ci chciał narobić huku
Na minie wyleciał w Tobruku.
Rozpłakało się Dzieciątko na serio
Z żalu za tą polską kawalerią.
Co mi pasterze po waszej kolędzie
Gdy takiego wojska więcej już nie będzie!

Marian Hemar

DWIE ZIEMIE ŚWIĘTE

Tu, w Bazylice, u Grobu
jarzą się świece a świece –
A tam teraz pszczoły złote
brzęczą w pasiece.

Tu słońce monstrancją wieczną
płonie w niebie jaskrawem.
A tam, w szarych dżdżach, garbate
wierzby mokną nad stawem.

Tutaj – ten kamień może
Jego stopy pamięta!
Ach, święta tutaj ziemia!
Tamta jest także święta.

Tu Betlejem błyszczące,
Tam jakaś zgubiona wioska –
A po niej też rankami
chodziła Matka Boska.

Chodził zmierzchem Pan Jezus,
kwiatki Go poznawały,
Wtedy właśnie, tam mocno
maciejki przed chatą pachniały,

Jaskółki plotły się nad Nim
i wróbelkowie głodni.
Ludzie Go nie widzieli.
Ludzie nie byli godni.

Ach, święta tamta ziemia,
wioska, wierzba, pasieka –
Tem droższa, że taka biedna,
tem bliższa, że tak daleka.

I tem w sercu najżywsza,
że przed okiem zgubiona –
O ziemio niezapomniana!
Nigdy nie opuszczona!

O żołnierzu bezsenny
w czarnym mroku namiotu,
Serce się w tobie zanosi
piosnką, marszem powrotu.

Z ziemi świętej do świętej –
jakby od Boga do Boga –
Żołnierzu, jak cudowna,
jak piękna przed tobą droga!

Jerozolima, kwiecień 1941

MODLITWA

Nie sprowadzaj nas cudem na Ojczyzny łono,
Ni przyjaźnią angielską, ni łaską anielską.
Jeśli chcesz nam przywrócić ziemię rodzicielską,
Nie wracaj darowanej. Przywróć zasłużoną.

Nasza to wielka wina, żeśmy z Twoich cudów
Nic się nie nauczyli. Na łaski bezbrzeżne
Liczyliśmy, tak pewni, jakby nam należne,
Aby nas wyręczały z jej należnych trudów.

Za bardzośmy Ojczyznę kochali świętami.
Za bardzośmy wierzyli, że zawsze nad Wisłą
Cud będzie czekać na nas i gromy wytrysną
Z niebieskiej maginockiej linii ponad nami.

I co dzień szliśmy w pobok Niej – tak jak przechodzień
mija drzewo, a Boga w drzewie nie pamięta.
A Ojczyzna codziennie przecież była święta,
A Ona właśnie była tym cudem na co dzień.

Spraw, by wstała o własny wielki trud oparta,
Biała z naszego żaru, z naszej krwi czerwona,
By drogo kosztowała, drogo zapłacona,
Żebyśmy już wiedzieli, jak wiele jest warta.

By już na zawsze była w każdej naszej trosce
I już w każdej czułości, w lęku i rozpaczy,
By wnuk, zrodzon w wolności, wiedział, co to znaczy
Być wolnym, być u siebie – być Polakiem w Polsce.

Aleksandria, sierpień, 1941

K. Kołton

ZBUDZONA PIEŚŃ

Zaszumi las, zapłacze las
a zdaje mi się, że to nasz.
Stary, sosnowy las
szumny, wołyński las.

Zakrzyczy ptak, zawoła ptak,
a serce myśli, że to szpak
Od rodzinnych stron,
gdzie wiśniowy sad.

Zapluszcze woda, zapachnie woda,
a zdaje mi się z tamtych stron.
Czysta woda, łzawa woda
ta z wołyńskich łąk.

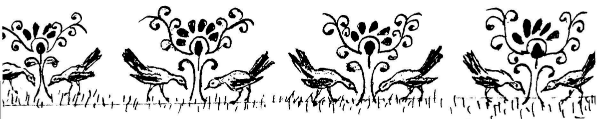
Budzi się pieśń, stęskniona pieśń
słucham melodii z starych wsi.
Z gorących serc, wołyńskich serc
ach szczerozłota, polska pieśń.

maj 1988

Józef Zabielski

CZAS ODLOTU

A gdy przyjdzie czas odlotu do ojczyzny człowieka
to odlecę w porywie szczęścia i natchnienia
jak ptak, co żegnając nieludzką ziemię ucieka
i obcą krainę na polską strzechę zamienia.



ŻYCIORYS

[Napisany przez Autorkę własnoręcznie specjalnie do tej książki w Toledo (USA) wiosną 1998 roku.]

Elżbieta Pawlicka-Frankowska jest córką weterana I wojny światowej, osadnika wojskowego Mariana Pawlickiego, który pełniąc wartę graniczną został zamordowany 17 września 1939 roku przez wkraczające do Polski wojska sowieckie.

Urodzona 19 listopada 1926 roku, po ukończeniu VI klasy szkoły powszechnej w Białozórce zdała pomyślnie egzamin wstępny do Państwowego Gimnazjum Żeńskiego im. Tytusa Chałubińskiego w Radomiu, gdzie w czerwcu 1939 roku ukończyła I klasę gimnazjalną.

Do 10 lutego 1940 roku mieszkała z matką i rodzeństwem w osadzie wojskowej Weteranówka, gmina Białozórka, powiat Krzemieniec, województwo wołyńskie. Była najstarszą z ośmiorga dzieci, najmłodszy Marian urodził się 27 października 1939 roku – kilka tygodni po śmierci ojca.

10 lutego 1940 roku wywieziona z rodziną do posiołka Piszczanka, Krasnowiszerski rajon, Permska obłast' – północny Ural. Tu spędzili 18 miesięcy w niewoli, ciężko pracując, przymierając głodem i chłodem. Tu już w pierwszym roku umarli dwaj najmłodsi bracia – Marian i Edward.

Po ogłoszeniu amnestii w sierpniu 1941 roku nie wolno im było wrócić do Polski - mieli do wyboru Uzbekistan, Kazachstan i Turkiestan. Odbyli uciążliwą podróż do Uzbekistanu

w poszukiwaniu pracy. Później przenieśli się do Turkiestanu. Tu umarła siostra Jadzia. W sierpniu 1942 roku trójka młodszego rodzeństwa z sierocińcem, a siostra z junakami i wojskiem przedostali się na Środkowy Wschód. Matka pozostała w ZSSR i dopiero w końcu 1946 roku wróciła do Polski.

W Isfahanie Elżbieta ukończyła gimnazjum i liceum. Już jako licealistka uczyła w szkole powszechnej, a także nauczała religii w gimnazjum (na co miała specjalne pozwolenie władz duchownych). W końcu 1945 roku uzyskała stypendium na Uniwersytecie Amerykańskim w Bejrucie, gdzie ukończyła Wyższą Szkołę Pielęgniarską, po czym przez rok pracowała w szpitalu uniwersyteckim jako asystentka „house supervisor".

Otrzymawszy ofertę posady instruktorki nauk ścisłych w szkole pielęgniarskiej w Peterboro w Ontario, wyemigrowała do Kanady. 14 czerwca 1952 roku poślubiła oficera wojska polskiego, kapitana Edmunda Frankowskiego, który aresztowany w 1939 roku przez sowietów, więziony w Kozielsku, Ostaszkowie i Pawliczewborze, cudem uniknął mordu katyńskiego.

12 grudnia 1952 roku Elżbieta przyjechała do męża do Toledo w USA, gdzie mieszka dotychczas. W latach 1953-1954-1955 urodziła się pierwsza trójka ich dzieci. W Toledo nastało wtedy duże bezrobocie, mąż stracił pracę – w 1956 roku Elżbieta wróciła do pracy zawodowej. Pracowała na pełnym etacie w szpitalu „Flower" – cztery lata jako siostra odpowiedzialna na oddziale chirurgiczno-medycznym, dwadzieścia lat jako „house supervisor" na drugiej zmianie (w godz. 15-23) i ostatnie dziesięć lat jako „acuity analyst" – nowy dział, zajmujący się klasyfikacją chorych itd.

W latach 1958 i 1963 urodziły się dwie córki. Bolesnym ciosem dla rodziny była śmierć na białaczkę ośmioletniego syna Rysia w lipcu 1964 roku. Tylko praca zawodowa, której była sercem oddana, pozwoliła Elżbiecie zachować równowagę

po tym tragicznym wydarzeniu. W 1968 roku urodził się najmłodszy syn.

3 października 1980 roku umarł mąż Elżbiety. Jedna z córek była już mężatką, a czworo dzieci jeszcze w domu – najmłodszy miał 12 lat. Elżbieta pracowała, wychowywała i kształciła dzieci. W sierpniu 1990 roku przeszła na emeryturę i w kilka miesięcy później utraciła w znacznym stopniu wzrok. Obecnie korzysta z książek na taśmach, a pisze „na pamięć" – utrzymuje bliski kontakt z przyjaciółmi z lat dzieciństwa.

SPIS TREŚCI



1 *Marian Pawlicki (z szablą) w roku 1920 (służył w 11 pułku ułanów). Obok Andrzej Kniaczyński, późniejszy szwagier. Zdjęcie zachowało się u jednej z ciotek.*



2 *Marian Pawlicki w maju 1937 roku.*




3-4 *Weteranówka, 1927 rok. Chrzciny Julka Sygnarowskiego. Z niemowlęciem w beciku siedzi Sygnarowska, obok mąż z córeczką Jasią. Z prawej Marian Pawlicki (z flaszką), obok żona Maria z małą Elżunią.*




5-6 *Weteranówka, 1930 rok. Kopanie studni u Sygnarowskich. W tle zabudowania folwarku i plebanii.*

U góry: pierwszy od lewej stoi Sygnarowski, w środku klęczy Marian Pawlicki.

U dołu: pierwszy od lewej leży Marian Pawlicki, przy nim dzieci Sygnarowskich

7 *Rok 1937. Na tle plebanii w Białozórce ks. Roman Jałocha z dziećmi po pierwszej Komunii św. Wśród nich bliźniaczki Pawlickie - Dzidzia (klęczy trzecia od prawej) i Jadzia (stoi trzecia od prawej).*



8 *Rok 1937. Klasa V„a" na schodach szkoły w Białozórce. U góry, trzecia od lewej Elżunia Pawlicka, czwarta - Jasia Sygnarowska.*

9 *Kołchoz „Kalinin" w Starym Ikanie, czerwiec 1942 . W strojach uzbeckich (wypożyczonych na tę okazję przez robiącą zdjęcie Uzbeczkę) stoją: Marysia Stawarz i Jańcia Kułak, w środku Uzbek - mąż gospodyni. Siedzą (od lewej): p. Kułakowa, Dania, Hala, dalej Elżunia i Lala Pawlickie z mamą oraz Abbaś - Uzbek. Zdjęcie przywiozła z zesłania Maria Pawlicka.*



10 *Isfahan, grudzień 1942. Dzieci z wychowawczynią krótko po przyjeździe. Od lewej: Rysio Pawlicki obok wychowawczyni, za nią Lala i Dzidzia oraz Wanda Rzepko z bratem.*





12 *Jedyna kartka pocztowa od Elżuni, jaka dotarła do mamy, Marii Pawlickiej, w czasie jej pobytu w ZSSR przez dalsze pięć lat.*

11 *Isfahan, lato 1943. Rysio, Elżunia i Lala Pawliccy.*



13 *Isfahan, 1943 rok. Harcerska Rodzina (od lewej): Dzidzia, Rysio, Elżunia, Lala i Józio Pawliccy.*



14 *Isfahan, 1944 rok. Rodzeństwo Pawlickich z przyjacielem, ks. dr. Tomasikiem. Stoją od lewej: Elżunia, Dzidzia i Józio, klęczą Lala i Rysio.*



15 *Isfahan, 1944 rok. Drużyna siatkówki. W środku (z proporczykiem) kapitan drużyny - Elżunia Pawlicka.*



16 *Józio Pawlicki w Szkole Kadetów Marynarki w Anglii - rok 1945.*



17 *Liban, lipiec 1947. Elżunia z Rysiem w Zouk-Michael, obok internatu, gdzie mieszkało kilkanaście sierot i półsierot, m.in. Lala, Rysio i Dzidzia. W głębi widok na Morze Śródziemne i drogę do Tripoli.*



18 *Bejrut, wiosna 1947. Elżunia Pawlicka na werandzie domu studentek-pielęgniarek.*

19 *Bejrut, 1949 rok. Absolwentki pielęgniarstwa na Amerykańskim Uniwersytecie w Bejrucie. W grupie były trzy Libanki, dwie Syryjki, trzy Ormianki, księżniczka etiopska i dwie Polki - Elżunia Pawlicka i Wisia Ceglewska. Elżunia pierwsza z prawej, Wisi nie ma na zdjęciu - wyjechała wcześniej do pracy w Damaszku.*

20 *Bejrut, 1949 rok. Elżbieta Pawlicka jako asystentka pielęgniarki oddziałowej w Amerykańskim Szpitalu Uniwersyteckim - z lekarzem w czasie obchodu na oddziale pediatrycznym.*





21 *Bejrut, styczeń 1950. Elżbieta Pawlicka - zdjęcie do życiorysu.*





22 *Rzym, marzec 1950. Elżbieta Pawlicka z ks. Władysławem Rubinem na Via Santa.*

23 *Rzym, kwiecień 1950. Elżunia przed kościołem św. Jana na Lateranie po ostatniej mszy przed wyjazdem do Neapolu i Kanady.*

24 *Peterboro (USA), 14 czerwca 1952. Elżbieta Pawlicka i Edmund Frankowski po swoim ślubie. Obok świadkowie - Piotr Biniecki i Władysław Świderski z Toledo.*

25 *Toledo (USA), Boże Narodzenie 1953. Elżbieta Pawlicka-Frankowska z córeczką Marysią przy choince.*



26 *Toledo (USA), 1964 rok. Elżbieta Pawlicka-Frankowska (w środku) z koleżankami przy pracy we Flower Hospital.*



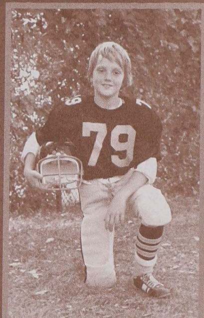
27 *Toronto (Kanada), listopad 1962. Rysio Pawlicki z żoną Halinką.*



28 *Orchard Lake, 1965 rok. Elżbieta Frankowska z mężem i dziećmi oraz starzy przyjaciele - ks. kardynał Władysław Rubin i ks. dziekan Zdzisław Peszkowski.*



29 *Toledo (USA), marzec 1968. Uroczystość harcerska Leona Frankowskiego. Obok syna Elżbieta i Edmund Frankowscy.*



30 *Marek Frankowski (najmłodszy syn Elżbiety) w wieku 12 lat. Rok 1980.*



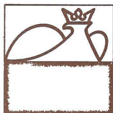
31 *Kwiecień 1991. Lala i Elżbieta Pawlickie nad jeziorem Ontario (w czasie wizyty u brata, Ryszarda Pawlickiego).*



32 *Lipiec 1995. Elżbieta Pawlicka -Frankowska z dziećmi (od lewej): Marysia, Leon, Patti i Elżunia. Na zdjęciu brak Marka.*

33 *Montreal (Kanada), październik 1997. Elżbieta Frankowska w dniu ślubu syna Leona.*

Wydawca:



Stowarzyszenie
Wspólnota Polska
Oddział w Rzeszowie
35-064 Rzeszów, Rynek 19



Elżunia Pawlicka jako studentka w Bejrucie w 1947 roku

Oddajemy do rąk Państwa wyjątkową książeczkę. Są to wspomnienia wojenne młodziutkiej dziewczyny, z którą historia obeszła się w sposób straszliwy, choć zarazem typowy dla tysięcy polskich obywateli po 1939 roku. (...)
Widać to we wspomnieniach Elżuni, która wraz z matką i rodzeństwem wędruje na południe barkami, pociągiem, statkiem. Gubi rodzinę, odnajduje ją, głoduje, bywa oszukiwana przez jednych, okradana przez drugich, życzliwie wspomagana przez jeszcze innych. Potem straszliwe choroby, śmierć bliskich... Egzotyka pustyni i stepów oraz ich mieszkańców: Kazachów, Uzbeków, Turkmenów. Rozstanie z matką. Ogrom nadziei i ogrom rozczarowań...

(...) Ale są również wspaniałe przykłady piękna i dobra ludzkiego, tym bardziej wyraziste, że na nieludzkiej ziemi i w nieludzkich czasach. Armia Andersa zostaje przez politykę wypchnięta do Persji i na Bliski Wschód. Elżunia ląduje w bajkowym Teheranie...

Wspomnienia urywają się. Żal. Bo Autorka ma wyjątkową zdolność narracji. Mogłaby dalej snuć opowieść swego życia, które potem wcale nie jest mniej ciekawe ani mniej uwikłane w historię, niż to już opisane.(...)

Opowieść, którą Państwu przedstawiamy, przykuwa uwagę od pierwszych zdań aż do końca. A po lekturze zmusza od osobistych przemyśleń. Autentyzm relacji. Szczerość wypowiedzi. Ból, ale żadnych potępień, osądów. Pragnienie szukania i opisania dobra. Przezorność i troska o innych...

[z tekstu *Od Wydawcy*]

ISBN - 83-910573-0-5